

WANDA RUTKIEWICZ

**JESZCZE TYLKO
JEDEN SZCZYT
ELŻBIETA
SIERADZIŃSKA**

MARGINESY

Dla niektórych ludzi te parę sekund, które przeżyją gdzieś tam w górach, [jest] ważniejsze niż cokolwiek innego w życiu, i temu życiu te parę sekund przeżyte tam – nada sens.

WANDA RUTKIEWICZ



Wanda Rutkiewicz przed chatą Téryho
w Dolinie Pięciu Stawów Spiskich w Tatrach, 1972.

WSTĘP

Dźwięki argentyńskiego tanga mogą mylić, ale nie obraz na ekranie. Sekwencje w tonacji sepii, ujęcia mężczyzn w kapeluszach z szerokim rondem i pumpach, wdrapujących się gęsiego po skałach z czekanem wziętym jakby wprost z muzeum górskiego w Chamonix czy Zermatt, ustępują kolorowemu widokowi szerokiej wstęgi gór nałożonej na jasnoniebieskie niebo. Tango płynnie przechodzi w ostrzejszą, nieco szarpiącą uszy muzykę. Pochylona sylwetka w ciemnoniebieskim kombinezonie posuwa się wolno, krok za krokiem, jakby wbrew porywającemu rytmowi rozbrzmiewającemu w tle. W górę, wciąż w górę. Jeden krok, drugi, trzeci, głęboki oddech, opuszczona nisko głowa. Ręce ciężko oparte na czekaniu. Podeszwy ciemnoniebieskich koflachów szczerzą do kamery czarne, trzymające je w ciasnym uścisku zębiska raków. Oddech. Jeden, drugi. Głęboki, wyszarpujący resztki powietrza z ciężko pracujących jak dziurawe miechy płuc. Prawa noga, lewa, powoli. Ręka zsuwa na tył głowy białą wełnianą czapkę z andyjskim wzorkiem. I jeszcze raz to samo, tylko w odwrotnej kolejności: najpierw lewa, potem prawa. Następny krok, i następny.

14 maja 1995 roku. Przedpołudnie. Strużki deszczu niezmordowanie spływają na chodnik po drzwiach wejściowych siedziby Muzeum Sportu i Turystyki w Warszawie*. W czwartym rzędzie niewielkiej salki projekcyjnej siedzi Matka.

Siedzi nieruchomo, w skupieniu wpatruje się w ekran. Zna ten film na pamięć. Doskonale wie, że za chwilę jej córka zdobędzie Aconcaguę,

* Przy ulicy Wawelskiej 5. Obecnie Muzeum Sportu i Turystyki w Warszawie mieści się w nowoczesnym Centrum Olimpijskim (Wybrzeże Gdynińskie 4).

najwyższy szczyt obu Ameryk. Patrzy bez cienia niepokoju czy żalu w oczach. Dla niej, dla Matki, nic się nie skończyło 13 maja 1992 roku trzysta metrów od szczytu trzeciego wierzchołka Ziemi – Kanczendzongi. Dla niej czas się zatrzymał, a jej córka wciąż kroczy ku szczytom w swej karawanie do marzeń...

I

EKSPLOZJA

Nikt prawie nie wie, dokąd go zaprowadzi droga, póki nie stanie u celu.

J.R.R. TOLKIEN, *DWIE WIEŻE*

Błysk lamp i klikot naciskanych migawek zlewają się w jeden nieprzerwany ciąg świateł i dźwięków. Hala przylotów lotniska Okęcie z trudem mieści wszystkich chętnych. Kwiaty, ręce gotowe podsunąć zdjęcia i długopisy do autografów, notesy, obiektywy, szyje wyciągnięte niecierpliwie w stronę wyjścia dla pasażerów. Czeka zaimprovizowane w holu studio telewizyjne S2, czeka radio. Wreszcie jest. W wełnianym kolorowym pasiastym golfie, nepalskiej kurtce z kapturem, z bukietem jesiennych kwiatów i w kaloszach – jej bagaż jeszcze nie dotarł do Warszawy. Szeroko uśmiechnięta brunetka. Aż trudno uwierzyć tym, którzy zęby zjedli na tatrzańskich turniach czy alpejskich iglicach, wypluwali płuca na pierwszych wyprawach w Hindukusz, Pamir czy wreszcie Himalaje, i tym, którzy czekana w ręku nigdy nie mieli, ale u których ta informacja rozbudziła wyobraźnię i wywołała niecodzienny dreszcz emocji, narodową dumę. Pierwszy Polak na Evereście, najwyższej górze świata! Kiedyś to się musiało wydarzyć. Pierwszy Polak, a dokładniej Polka! A jeszcze dokładniej pierwsza Europejka, trzecia kobieta na świecie i osiemdziesiąta druga osoba na liście wszystkich wejść. Tak by to wyglądało w czasach sukcesów Adama Małysza, a dzisiaj choćby Igi Świątek. Ale nie... „Byli tam jacyś zaprzyjaźnieni dziennikarze, [...] jakaś kamera z TV”¹, kwiaty i to wszystko.

A mimo to, co w tamtej chwili, jeśli był wówczas przed telewizorem czy przy radiu, pomyślał Bogdan Jankowski, taternik, instruktor alpinizmu, pracownik naukowy Politechniki Wrocławskiej? Czy zacisnął usta w półuśmiechu, pokręcił głową i stwierdził: coś takiego, a jednak! „Oj, nie pamiętam – broni się przed pytaniami – gdzie i kiedy dostałem tę wiadomość. Ale pamiętam, że ucieszyłem się, pomyślałem: dzielna Wanda!”². Czy w tej roześmianej brunetce otoczonej tłumem dziennika-



Wanda w Tatrach.

rzy zobaczył tamtą dziewczynę stojącą na drodze przy junaku? Rzadko widywało się panny na motorze, więc czy można było się nie zatrzymać? Jeszcze takie ładne panny? Że co? Aaa, benzyny zabrakło, no tak. Wsiadaj, podrzucimy.

Był rok 1961.

To było coś kompletnie nowego. Ekscytującego. Nieprzewidywalnego. I jeszcze ten strach. Adrenalina nieporównywalna do oczekiwania na wyjście na boisko. Drużyna to drużyna, parkiet to parkiet, a tu... Skąła, jej dotyk i zapach, i palce szukające oparcia, występu, chwytu. Łomot krwi w uszach. Strach. „Eksplozja!”³. Tak opisuje tę chwilę Billowi Birkettowi.

Poczuła, że wspinaczka to jest właśnie „to”! I jaka była ta pierwsza wspinaczka? – pyta Bill. – Łatwa? „Raczej tak” – odpowiada. „Nie było to ani ładne, ani w dobrym stylu, ale byłam po raz pierwszy w Skalkach. Miały około stu metrów wysokości i były granitowe. Moi przyjaciele wspinali się ze mną, ale tylko trochę, ponieważ byłam początkująca, a oni chcieli się wspinać sami. Ale ja byłam podekscytowana, był tam taki komin, więc zaczęłam się wspinać. Wspinałam się i wspinałam. Moi koledzy porządnie się wystraszyli, ponieważ byłam sama”⁴.

Pewnie, że się wystraszyli. Chyba pożyczyła im notatki. W ramach rewanżu zaproponowali jej wypad w Skalki, ot tak, nic zobowiązującego, poza tym fajnie było gdzieś pojechać z taką atrakcyjną dziewczyną. Coś tam można było jej pokazać, ale żeby od razu miała się wspinać? Bez przesady.

Na uczelni Wanda ma swoją paczkę; trzyma się między innymi z Bogdanem Jankowskim i Januszem Fereńskim. Interesuje się telegrafią, więc zagląda od czasu do czasu do akademika politechniki, choć niektórzy mówią, że powód tych wizyt jest zgoła inny. Jankowski jest zafascynowany górami, więc po powrocie z praktyki w Związku Radzieckim Wanda wybiera się z nim pod Jelenią Górę, w Sokole Góry.

W Sokolikach są Sukiennice, charakterystyczna skałka ze szczeliną, głębokim pęknięciem. Z jednej strony utworzył się więc szeroki komin.

Ta Wanda to jeszcze „srula”. Atrakcyjna, fakt, ale jeszcze srula. Niech więc sobie siądzie o tu, na pieńku pod tą ścianą, i poczeka, aż panowie ścianę złożą i pojawią się na górze. Dziewczyna siada, a jakże. Jankowski i Wachowicz idą w górę. Od drugiej strony. I łoją.

Nagle w trudnym miejscu słychać jakieś sapanie. „Słuchaj John – to Jankowski – zdaje mi się, że Wanda się wspina”. „A coś ty, głupi?” – to John. Widok z góry nie pozostawia wątpliwości: Wanda tkwi w kominie dwadzieścia metrów nad ziemią, solo, bez liny, bez asekuracji, wystraszona, ledwo się trzyma. „Tylko nic nie mów – to do Johna – bo jeszcze zleci”⁵. Złaż! No złaż! Albo nie, lepiej poczekać, jakoś cię stamtąd ściągniemy. Pewnie lecą jakieś dosadne męskie określenia, choć w relacjach zostaną tylko te cenzuralne. Jankowski robi pętlę, rzuca ją „sruli”, która wprawdzie raczy spojrzeć na ewentualnych wybawców, ale wyraźnie zmobilizowana, jeszcze szybciej rusza w górę. Lina? A gdzie tam! Odrzuciła. No i gdzie ona lezie? Polazła.

„Wtedy, za pierwszym razem, weszłam od razu na samą górę” – notuje jej słowa Bill. „Bardzo mi się to spodobało. [...] Od tamtego czasu nigdy nie zdobyłam się na przejście tej drogi bez liny czy partnera”⁶.

„Z tej pierwszej eskapady w góry – wspomina Maria Błaszkiwicz – Wanda wróciła cała osmalona, podrapana, pokrwawiona, ale absolutnie zachwycona. «Ach, mama, jaka to wspaniała rzecz!». Zbyttno się tym nie przejęłam, próbowała przecież tylu rzeczy. No i się zaczęło”⁷.

Lepiej? Wyżej? Szybciej? Temu Wanda hołduje od zawsze, choć nikt w domu do tego jej nie zachęcał, wręcz przeciwnie. Ojciec wyrabiał w swych dzieciach ducha czystego samodoskonalenia się, sportowego, fizycznego, otwarcia na świat przyrody, umiejętności zdrowego odpoczynku, ale nie rywalizacji. Zabiera Wandę i jej rodzeństwo na pierwsze wypadu w góry. „W góry” to brzmi dumnie, bo cel tych wypraw, Sobótko, czyli Słęża na Przedgórzu Sudeckim, ma zaledwie 718 metrów, ale Wanda uczy się od ojca przygotowania do wyjścia w góry, myślenia o zaopatrzeniu, umiejętności rozpalania ogniska, pakowania plecaka, rozsądku i odpowiedzialności za podejmowane tam decyzje.

„Dlaczego zaczęła się wspinać?” – matka Wandy nie ma wątpliwości. „Chyba wytworzyła się wokół niej taka atmosfera. Kiedy poszła na studia, była już bardzo samodzielna pod wieloma względami. Bardzo uzdolniona i wszechstronna, i w tym przypominała mi moją matkę, potrafiła też robić wiele rzeczy, których nikt jej nie uczył. W szkole podstawowej parę lat uczyła się muzyki, ale chyba nie bardzo jej to wychodziło, bo w szkole średniej już do tego nie wróciła. Mimo to miała również, chyba niezbyt udany, «głównie dla dzieci» – śmieje się pani Maria – okres udzielania lekcji rytmiki w przedszkolu. Brała się do wszystkiego, gdzie mogła się czymś wykazać: pokazy gimnastyczne, olimpiady przedmiotowe, a w ostatniej klasie liceum kółko recytatorskie. Kiedyś byłam nawet na jakiejś większej próbie do klasowego, popołudniowego przedstawienia. Wanda grała w nim Balladynę. Recytowała też jakieś wierszyki na szkolnych imprezach. Dużo czytała, owszem, ale nie tak zachłannie jak ja. Wybrała sobie także dodatkowy przedmiot, łacinę, musiałam więc trochę ją poduczyć; zresztą rosyjskiego – jak wszystkie moje dzieci – także”.

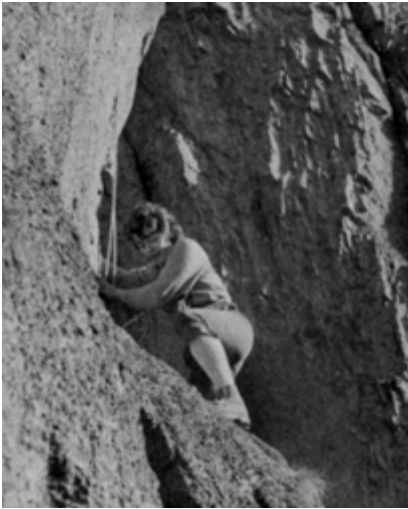
„Ale tak naprawdę w szkole ubóstwiała harcerstwo” – mówi z dumą pani Maria. „Tacy ludzie jak Łukaszewiczowie czy Wańkowiczówna mieli na nią wielki wpływ. To kształtowało ją w dużym stopniu w rozwijaniu wielu dodatnich cech, koleżeństwa, pracowitości, odpowiedzialności. A kiedy Wanda poszła na studia, snułyśmy wspólnie wielkie plany na przyszłość”.

Lubiła ruch i go potrzebowała. W sporcie próbowała prawie wszystkiego: grała w siatkówkę, rzucała oszczepem, pchała kulę, biegała, skakała w dal. W tym czasie robiła też prawo jazdy na motocykl. „Szalała po całym mieście na junaku” – przyznaje matka. „Wtedy nie było jesz-

cze takiego ruchu. No i ciągle gubiła dokumenty. Później to już nawet mandatów jej nie wlepiali. No cóż, była młodą, ładną dziewczyną. Miała niespożytą energię i siłę”. Patrzy na stojące nad tapczanem puchary. „Ciągle potrzebowała czegoś takiego, co by ją stymulowało, dawało szansę robienia czegoś innego, niecodziennego. Motocykle, maszyny cyfrowe czy żagle. O tak, na wodzie też dokazywała, chociaż ona i jej koleżanki nie miały właściwie nic, by uprawiać sporty wodne. Zwykle gdzieś w pobliżu były jakieś obozy wodniackie. Wanda dobierała sobie najczęściej jakąś towarzyszkę i obie wypływały na środek jeziora. Tam udawała, że toną, więc oczywiście koledzy płynęli im na ratunek. Znajomość była już nawiązana i potem było łatwiej. Zaczęła też na poważnie grać w siatkówkę”.

Matka, wierny kibic, chodziła na wszystkie mecze córki i cierpliwie wysiadywała na trybunach. Ninę odprowadzała na basen, a z Wandą chodziła na mecze. Dlaczego akurat siatkówka? W tamtych czasach grano głównie w siatkę, a nie w ręczną czy koszykówkę. Rutkiewicz, a właściwie Błaszkiwicz, gra najpierw w AZS-ie, a potem w Gwardii Wrocław. Wyróżnia się. Trafia do kadry Polski junierek i młodzieżowej szerokiej kadry olimpijskiej przed olimpiadą w Tokio w 1964 roku. Potem zmieniają się przepisy. Przy bloku i ataku potrzebne są zawodniczki wyższe, i wprawdzie pod siatką Wanda nadrabia inteligencją i sprytem, ale przy stu sześćdziesięciu ośmiu centymetrach wzrostu na wyczynowe uprawianie tego sportu nie ma szans. Z piłką siatkową rozstaje się jednak dopiero trzy lata po pierwszym wyjeździe w góry. Ostatni raz w barwach AZS-u pojawia się na uniwersjadzie w Budapeszcie w 1965 roku. Potem gra jeszcze jeden sezon w Gwardii i staje przed dylematem: siatkówka czy góry? Wybór wydaje się oczywisty: przecież odkryła coś, z czym trudno rywalizować.

W Skalki wraca w następny weekend. I w następny też. Najpierw trzy godziny telepania się pociągami. Potem jakaś godzinka piechotą; do Skalek dociera się właściwie o zmroku, więc trzeba biwakować. W ciągu dnia krok po kroku, metr po metrze Wanda przyswaja sobie tajniki wspinaczki, ściera palce do krwi, wiąże linę pod pachami, uczy się zjazdów i zasad asekuracji. Wieczorami, na biwakach, odkrywa wyciskający lzy z oczu dym z ogniska, zapach wilgotnych liści, jednostajne bębnienie deszczu o brezent płachty czy namiotu. Chłonie opowieści kolegów z uczelni i partnerów. A następnego dnia, choć czasem i w nocy, znowu lina



Nauka wspinaczki bywała także niebezpieczna.

i karabinki. Stopnie, chwyty, węzły, drabinki. Któregoś razu biwakuje sama. Oswaja się z lękiem. Nasłuchuje szelestu liści, wiatru świszczącego w gałęziach. A raniem znowu pociąg i powrót do Wrocławia.

Na początku Skałki nie były tylko terenem wspinaczkowego treningu, raczej miejscem spotkań, wspólnego przeżywania, dyskusji. Owszem, mieli parę dróg do zrobienia, ale równie ważne były rozmowy, pogadywanie, robienie zdjęć, wspólne gotowanie i biwak w kolebie pod wielkim głazem. Trzeba było zajrzeć tu i tam, choćby do starej jamy, by sprawdzić, czy ciągle mieszka tam lis. Wandzie ten ludzki mikroklimat na łonie przyrody przypominał dawne dobre harcerskie czasy, kiedy jako nieco okrągła na twarzy nastolatka stawiała namioty, kopała dół na latrynę, rozpałała ognisko i gotowała nad nim posiłek. Skałki to był raczej ceremoniał niż trening.

Ale to także powoli się zmieniało. Zamiast trzech czy czterech dróg zaczęto robić kilkanaście, tę samą drogę przechodziło się parokrotnie, za każdym razem szybciej czy w lepszym stylu.

Ryzyko? Nie liczyło się. Nie myślała o tym. Początkowo nawet przekonywała mamę, że nie jest to sport niebezpieczny. Nie zmienił tego nawet wypadek, odpadnięcie. Hak wyrwany ze ściany, osiemnaście metrów lotu w dół i dwa tygodnie szpitala. Zresztą z początku o śmierci w górach właściwie nie wiedziała nic: słyszała jedynie o wypadku dwóch znanych profesorów w Tatrach, na Mięguszowieckich Szczytach. Jeszcze w Skałkach, „obserwując ich sprawność we wspinaniu, zaczęłam zdawać sobie



Od lewej: Małgorzata Kiełkowska, Danuta Gellner (Wach),
Wanda Błaszkwicz (Rutkiewicz), Tadeusz Piotrowski i Krzysztof Gąsiecki,
kwiecień 1969.

sprawę z własnej nieporadności. Patrząc na mknących ku górze kolegów, postanowiłam im dorównać. Zrodziła się chęć rywalizacji. Ale nie tylko to. Zrozumiałam, że wspinaczka, pozwalając cierpieć, daje także afirmację własnych dążeń, pokrzepienie, kontakt z przyrodą, otwiera nieznany dotąd zakres doznań estetycznych”⁸.

Jej pokolenie to późniejszy prawnik Roman Bebak, sędzia Janusz Fereński, matematyk Kazimierz Głazek, geodeta Jan Franczuk, student Politechniki Wrocławskiej Wojciech Biederman.

Ryzyko, odpadnięcie, wypadek, nawet śmierć. Na kursach w Tatrach będą jej pokazywać zdjęcia tych, dla których wspinaczkowa droga okazała się ostatnią. Popatrz, to nie zabawa, tu można zginąć. To jej nie zniechęca, nie blokuje. Wręcz przeciwnie. Wyzwała potrzebną jej adrenalinę, mobilizuje. Nie myśli o tym, co może się stać, zamiast tego stara się być lepiej przygotowana i ostrożniejsza. Zwłaszcza przy wbijaniu haków.

„Oczywiście podśmiewywali się z tego Wandzinego entuzjazmu, zapachu i tego nieprzepartego pędu do gór” – mówi Maria Błaszczkiewicz. „Ona po prostu rwała się do tego. Skrupulatnie przygotowywała się do każdego wyjazdu, studiowała wszystkie możliwe mapki, trasy, dróżki. Fizycznie była doskonale przygotowana. Dołożyła do tego miłość, zafascynowanie górami i ich pięknem. Jak wszyscy skrzętnie zbierała sprzęt, udzielała korepetycji, dorabiała jak mogła, by coś dokupić, skompletować.

Była to naprawdę zgrana paczka. Przyjaźniła się bardzo z Jasiem Franczukiem. To był wspaniały chłopak, geodeta i wielki oryginał. Prawy, duszą i ciałem oddany przyrodzie i bardzo z nią związany. Gdy wyjeżdżaliśmy razem w Skałki, z początku zawsze trzymał się z nami, ale potem biegł po całym pociągu, uciekając przed konduktorem. Wyznawał bowiem zasadę, że pociągi powinny przysługiwać obywatelom za darmo. Dorabiał, malując kominy, myjąc szyby. Często przychodził do nas do domu, był zresztą jak domownik. Często razem wyjeżdżali w Tatry. Razem z nim przychodził też asystent Wandy z uczelni, brat Biedermana. A że Wandy często nie było w domu, siedziałam z nimi wieczorami i gawędziliśmy sobie.

Jasia i Wojtka długo nie mogłam zapomnieć. I drżałam o Wandę. Ona jednak potrafiła mnie przekonać, że jest bezpieczna, a ja wierzyłam w to, co opowiadała. Zresztą postanowiła pokazać mi, jak to jest w górach. Parokrotnie namawiała mnie na wspólny wyjazd w Skałki, ale jakoś jej się to nie udawało. Za każdym razem mówiła: «Mama, spróbuj!», aż wreszcie mnie namówiła. Za pierwszym razem szłam razem z nią, za drugim – z kimś innym. Sokolik jest najwyższy, a na szczycie jest takie żelazne obramowanie. No i weszłam! Widok był taki, że aż dech mi zaparło. W swoim życiu przeżyłam wiele pięknych chwil, ale ta przeszła moje wszelkie oczekiwania. Tego uczucia nigdy nie zapomnę. Potem odłączyłyśmy się od reszty i zaczęłyśmy schodzić. Doszłyśmy do takich płyt i raptem, sama nie wiem kiedy, Wanda zeszła, nie czekając, a ja ruszyłam za nią. Kiedy się odwróciła, ja również przeszłam te płyty. Wanda była wyraźnie ucieszona: «Mama, ty masz wrodzony talent do wspinaczki!». A ja oparłam się plecami o skałę i schodziłam. Nie czułam strachu ani grozy sytuacji, zupełnie nic. Czułam dumę. Jakby coś mnie popychało naprzód, podpowiadało, jak to robić. Zrozumiałam, że mogą istnieć rzeczy niebezpieczne, a zarazem pociągające, i że można to robić. To właśnie daje człowiekowi poczucie satysfakcji, pełnię, wyzwala

przekonanie, że wszystko jest osiągalne, i utwierdza go w nim. W górach wiele podpowiada intuicja, w niektórych sytuacjach się nie myśli, tylko po prostu wie, wyczuwa, ma w sobie”.

Rzeczywiście, Wanda miała naturalne zdolności, ale także wytrzymałość, skoczność, wycucie równowagi, nabyte podczas uprawiania lekkiej atletyki i siatkówki – umiejętności, które nieraz jej się przydadzą. Ale w skale Sokolików, a potem w Tatrach odkryła, tak jak wielu przed nią, nie tylko oddech wolności, niezależności, ale również otwarte szerokie pole działania, na którym ujście mogły znaleźć jej ambicja, upór i ciągła potrzeba działania i doskonalenia się. Więcej. „Od pierwszego dnia wspinaczka jest dla mnie rzeczą naturalną – twierdzi – takim samym elementem życia codziennego jak jedzenie, picie, spanie czy praca”⁹.

„Tak się zaczęło” – konkluduje matka. „A potem szła już swoją drogą”.

Podeszli pod ścianę, żeby się powspinać. Zadarli głowy, patrzą: „Nie! No... dziewczyna! Ba, dziewczyna – wspomina himalaista Paweł Palus – ale to była, jak dzisiaj się to mówi, jakaś taka «laska»”¹⁰. Piękna dziewczyna, wspina się lekko, płynnie przechodzi tam, gdzie oni walczyli, jak mówi Palus, „jak dzicy”¹¹. Przewieszona skała, a ona nic, płynnie do góry, no pajak po prostu. Kto to jest? – pytają Eugeniusza Chrobaka, wówczas znanego już alpinistę. Iii... – pozornie niedbale odpowiada Chrobak – to Wanda Błaszkiwicz! Ta niedbałość to pozory: wysportowana piękna studentka przyciąga wzrok kolegów. Poznaje wszystkich, którzy wkrótce będą się liczyć w polskim alpinizmie. Wojciech Dzik, taternik i alpinista, nie pamięta, czy była to Kazalnica czy inna ściana. Za to pamięta, że chłopaki się na niej zapchali, a Wanda poszła jak burza. Wojtkę Kurtykę „zauroczyły [...] jej głęboko osadzone oczy i zachwycający uśmiech, ale trwało to tylko kilka tygodni. W głowie miał co innego. Myśl o granitowej skale pod palcami”¹². Zupełnie jak Wanda.

Pierwszy własny śpiwór i puchową kurtkę kupuje ze stypendium naukowego. Bagatela, parę tysięcy złotych, jak na tamte czasy – mała fortuna. Ale się opłaca. Jeździ już nie tylko w Sokoliki. Karkonosze, Sudety, Beskidy – Śląski, Żywiecki, Wyspowy. W Sokolikach bierze udział w ukłasyznieniu takich dróg, jak Parszywa Rynna i Prawy Biederman na Sukiennicach czy Komar na Sokolej Lalce. Jeździ coraz dalej i coraz częściej. Wspina się coraz wyżej, na coraz trudniejszych drogach.



Wanda Rutkiewicz w Tatrach
– wejście na Kazalnicę.

Niektórzy twierdzą, że jakiegoś specjalnego talentu do wspinaczki nie miała, że była to tylko niespotykana siła woli. Jeden z życiowych i tatrzańskich partnerów Wandy z czasów, kiedy była już instruktorem w wspinaczkowej szkółce, twierdzi, że podczas wspólnej wspinaczki zdecydowanie nie błysnęła. A może zrobiła to z premedytacją? Może nie chciała dawać prztyczka w nos bliskiemu mężczyźnie? Piotr Pustelnik mówi coś dokładnie przeciwnego: miała doskonałą technikę.

Niemniej jednak czy to dzięki talentowi, czy uporowi, w latach 1962–1963 Błaszkievicz robi duże postępy. Do siły woli dorzuca kolejne doświadczenie: pierwszy stopień wtajemniczenia we wspinaczce zimowej. Wielokrotnie zagląda do Chatki pod Śmielcem, od 1968 roku jest w niej stałym gościem, „dwa, trzy razy w sezonie i trwa to ładnych kilka lat”¹³. Karkonoskie polodowcowe Śnieżne Kotły znajdują się między Łabskim Szczytem i Wielkim Szyszakiem, ich górna krawędź sięga 1490 metrów, a dno leży na wysokości mniej więcej 1200 merów. Tam Wanda nabywa doświadczenia, które równie dobrze można odnieść do Tatr zimą, jak i, *toutes proportions gardées* co do skali, do gór wysokich: głęboki śnieg, lód, długie podejścia, niskie temperatury, lawiny, lodospady, nawisy, eks-



Wspinaczka
na Krzywej Turni
w Sokolikach.

pozycja. Asekuracja z czekana, raki, lodowe igły i śruby, rąbanie stopni. Tatry czekają.

W 1962 roku przekracza próg „szkółki taternickiej” w schronisku Bustryckich* na Hali Gąsienicowej. Instruktorzy jak zwykle myślą: kolejna panienka, która szybko się wystraszy. Ale ona była uparta. Taborisko, słynne taternickie obozowisko poniżej Morskiego Oka, było pełne jednodniowych wspinaczy. „Ci prawdziwi – wspomina Marian Sajnog – to jeszcze świtało, jak brali te swoje wory, potem wracali na ostatnich nogach, ale byli też tacy wspinacze, tacy herosi, co to wstawali o trzeciej rano, szykowali się, czyścili, pucowali, potem wychodzili, oj, będzie chyba burza, po czym szli na piwo; jutro to my zrobimy to albo tamto; myśmy się tylko śmiali: tak, zrobimy kant... lewego półdupka!”¹⁴.

Wanda była inna. Od początku traktowała wspinaczkę śmiertelnie poważnie.

* W 1962 roku schronisko służyło zwykłym turystom i jedynie udzielało gościny członkom Klubu Wysokogórskiego. Klub przejął je dopiero w 1972 roku.

Jej instruktorami byli między innymi Zdzisław Jakubowski i Ryszard Berbeka, brat Krzysztofa, a także Jerzy Hirsztowski, Adam Uznański, Longin Świliński. Wanda wspomina o nich z szacunkiem i uznaniem. Żaden w górę na plecach jej nie targał. Towarzyszyli jej, byli, pozwalali prowadzić, wahać się, bać, wykazywać inicjatywę i się cofać. Praktyczny egzamin w „szkółce” Wanda zdaje bez trudu. Mimo to ocena z egzaminu – dobra. Dla niej to zaledwie dobra, niestety, potyka się na teoretycznym. Mimo dużego odczytania w literaturze kłaniają się braki w znajomości topografii Tatr. Ale Kartę Tatarnika w kieszeni ma, więc może już wyruszyć na podbój Tatr.

Początki może nie zawsze są błyskotliwe, za to pełne emocji.

Janusz Kurczab wpada na pomysł zrobienia nowej drogi na Koprowym Wierchu, tuż za granicą z Czechosłowacją. Zabierze Wandę? Skąd, nie ma takiego zamiaru. Planuje wyjście dwiema dwójkami, z Bogdanem Jankowskim, Kazkiem Głazkiem i Krzysztofem Cieleckim. A Wanda następnego dnia musi coś załatwić na uczelni. I całe szczęście! Tylko by przeszkadzała! Liny, haki, pętle, karabinki, wszystko trzeba przemyśleć i zaplanować, na czterech oczywiście. Wandzie trochę szkoda. To może pójdzie jeszcze dziś w stronę Koprowego Wierchu, zabiwakuje na Przełęczce pod Zadnim Mnichem, a rano, jak dojdą, zrobi im herbatkę, co? Może tak być? Nie ma wyjścia, zwłaszcza że zadurzony w Wandzie Cielecki z ochotą oferuje jej swoje towarzystwo.

Poranna herbatka niezbyt się uda. Obudzona Wanda wprawdzie zaczyna ją gotować, ale po chwili palnik gaśnie; no masz, gdzieś w śniegu przepadł jej pojemnik z paliwem! „Gdzie moja benzynka, gdzie moja benzynka?” – powtarza. Benzynka gotuje się w garnku zamiast herbaty, ale to nieszczeni tatarnicy jeszcze jakoś znoszą. Pospiesznie żegnają się z Wandą, a tu klops! „Wanda oświadcza, że jednak postanowiła pójść z nami na wspinaczkę” – pisze Bogdan Jankowski. Cały plan i misterny dobór sprzętu na cztery osoby biorą w łeb. Chwytając się ostatniej nadziei, Jankowski mówi, że niestety, nie mają dodatkowej, a niezbędnej w tej sytuacji liny. Na co Wanda: „Ale ja mam”, i wyciąga linę ukrytą pod kurtką. „Drogę zrobiliśmy, choć nie było to proste”.

Herbatki nie wypili, Wandzie nie udało się też poprowadzić żadnego wyciągu, nie pozwoliła jej na to nieodzowna podczas debiutu odrobina stresu, ale kolejny krok na wspinaczkowej drodze został zrobiony.

Błaszkiwicz robi w Tatrach sporo ambitnych przejść, nierzadko w zespołach kobiecych. W miarę szybko obiera sobie za cel drogi bardzo trudne, wręcz legendarne, jak te na południowej ścianie Zamarłej Turni czy direttissima północnej ściany Kieżmarskiego Szczytu. We wrześniu 1963 roku zmierzy się z Wariantem R na północno-wschodniej ścianie Mnicha, który w tym okresie jest wyznacznikiem klasy wspinaczy. Jest już zauważana, wzbudza zainteresowanie. Wypatrzy ją świetny alpinista Jerzy Krajski, który właśnie szukał partnera: kogoś młodego, ambitnego, z inicjatywą. Wprawdzie poznali się dopiero dzień przed wspinaczką, ale wybór Krajskiego przypadkiem nie jest. W środowisku wszyscy wiedzą wszystko albo prawie wszystko. Krajski się nie pomylił, a dla Wandy zrobienie Wariantu R było niczym chrzest bojowy.

Ładny lipcowy dzień 1969 roku. Błaszkiwicz wraz z przyszłym mężem Wojciechem Rutkiewiczem i Jackiem Kazimierzem Rusieckim robi pierwsze polskie przejście direttissimy Wielkiej Granackiej Baszty, a w lutym 1972 roku – zimowe wejście z Andrzejem Wiluszem na Baranie Rogi, ósmy szczyt na liście Wielkiej Korony Tatr. Ale co ważniejsze, wrocławianka odkrywa i wydobywa z siebie tak przydatną w przyszłości umiejętność uruchamiania rezerw sił, wynikającą z dobrego ogólnego przygotowania sportowego. Zimą robi dość długie tatrzańskie drogi o średniej skali trudności: Niżne Rysy czy Cubrynę, choć szybko okazuje się, że zimowe doświadczenia z Kotłów Śnieżnych, z których była tak dumna, w Tatrach nie zawsze wystarczają.

Komin Węgrzynowicza to jedna z najtrudniejszych zimowych dróg tatrzańskich. Wybrały się na nią we trzy: Wanda i jej dwie koleżanki, w tym przyszła himalajska partnerka Ewa Panejko-Pankiewicz, zwana przez wszystkich Maleństwem. Żadna kobieta tego komina jeszcze nie zrobiła. „Wszyscy chłopcy nas oglądali, chodzili i gadali” – śmieje się Ewa Panejko. „Alek Lwow też podglądał, jak się wspinamy, a potem poszedł do chłopaków i powiedział: dziewczyny ciągną wory. Oczywiście zawsze musieli nam dociąć, ciągle było coś nie tak”¹⁵.

Ale bywało gorzej.

Zsuwała się błyskawicznie. Ponadstumetrowe urwisko zionęło głębią jakieś trzydzieści metrów poniżej grani, którą schodziły. Niewinna „dwójka” w lecie, w sześciostopniowej skali trudności, w zimie okazała się zdradliwa. Elżbieta Miszczak, sąsiadka Wandy z Wrocławia i jej partnerka, musiała być już bardzo zmęczona: drogą, zadymką, wiatrem wci-

skającym drobiny śniegu w każdy zakamarek kurtki. Rak zaczął o rak i Miszczak poleciała. Słyszała przerażone „Hamuj!”. Zsuwała się na brzuchu po stoku, rozpaczliwie waląc przed sobą czekanem. Znaleźć jakieś zaczepienie, jakiś miękki płat śniegu, a nie kamień, lód. Coś... cokolwiek... Od urwiska dzieliło ją ledwie kilka metrów, gdy czekan stabilnie utkwiał w śniegu.

Wanda nie mogłaby zrobić nic. Nie związały się liną. Teren był względnie łatwy, choć obie nie miały wielkiego doświadczenia zimą w Tatrach. W trudnych warunkach pogodowych w górach niewiele można zrobić za kogoś.

Błaszkiwicz nie zaniedbuje spraw formalnych. Jest bardzo sumienna. Zostaje członkiem Koła Wrocławskiego Klubu Wysokogórskiego. Znowu też zasiada w szkolnej ławie, tym razem na kursach Studium Trenerów II klasy Akademii Wychowania Fizycznego w Krakowie. Pierwsza sesja odbywa się w maju 1973 roku, a rozdanie dyplomów – w kwietniu 1977 roku; uczestnikami drugiego turnusu są między innymi Wanda Rutkiewicz, Jan Wolf i Andrzej Zawada.

To w Tatrach Wanda po raz pierwszy styka się ze śmiercią z górach. Ginie Krystyna Lipczyńska. Miały wspólne plany: wspinaczki w Skałkach, Tatrach, może i Alpach. Lipczyńska zginęła ze swym partnerem w zerwach Galerii Gankowej. Pogoda się załamała, zmarli z wyziębienia w potwornej ulewie. To Krystyna, wówczas znakomita i uznana taterniczka, napisała do Wandy. Widziała ją w akcji i proponuje wspólne zrobienie kilku tatrzańskich ścian o najwyższym stopniu trudności. Dla Błaszkiwicz takie zaproszenie to najwyższy dowód uznania. Ależ oczywiście! Umawiają się na wspólny trening. Tylko wcześniej, latem, Wanda pojedzie do ówczesnego ZSRR. Podciągnie się, poćwiczy. Kiedy wraca do Polski, Krystyny już nie ma.

Tę śmierć przeżyje bardzo mocno, ale o porzuceniu wspinaczki nawet nie pomyśli. Od pierwszej chwili góry były dla niej domem, a domu się nie porzuca. Do domu się ucieka od problemów, od ludzi. Nawet w ostatni dzień roku!

W sylwestrowy wieczór schronisko w Morskim Oku oazą spokoju raczej nigdy nie było. Dla Wandy jest za głośno, za gwaro. Gdzie uciec? Proste! W góry! Pod Rysy! Przecież można wykopać jamę w śniegu, procentom w butelce nic się nie stanie. Elżbieta Miszczak-Piekarczyk nie protestuje, nawet gdy na przyczepkę wprasza się do nich jeden z zagorzałych



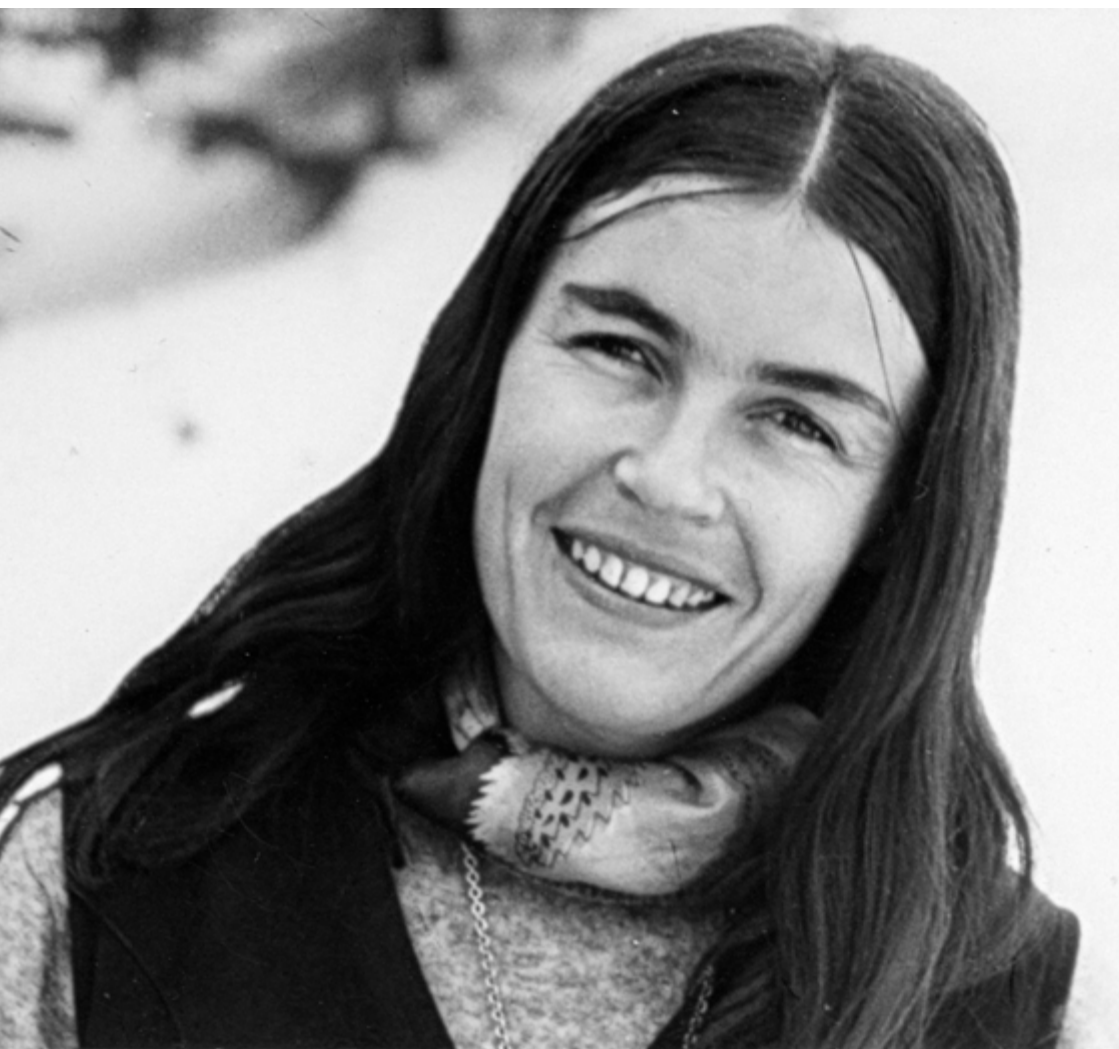
W drodze
na Kazalnicę, 1972.

wielbicieli Wandy. Jama wykopana, a w ciemnościach, z dala od strzelających szampanów, niesie się po górach głos Elżbiety, wyśpiewującej pieśń za pieśnią: góralska czy kolęda, polska czy słowacka, wszystko jedno. Zimno nie jest, tylko coraz bardziej mokro. Za mokro. Chyba przyjdzie jednak wrócić do Morskiego Oka. Wracają. Ale w świat idzie wieść o pewnym Krzysiu, który na sylwka zabrał sobie w góry dwie dziewczyny.

Kilkanaście lat później, już jako gwiazda himalaizmu, Wanda znowu pojawi się w Tatrach, ale Krzysia z nią nie będzie. Przyjedzie ze Stéphane'm Schaffterem, swoim życiowym i górskim partnerem. Szwajcar będzie zachwycony. Nic dziwnego. Tatry nie dają o sobie zapomnieć, są jak kosówka.

Poskręcana i czepliwa. Niewymagająca co do podłoża, gęsta. Niby się płóży, ale tak naprawdę sięga wysoko. Chwyta i osacza przechodzącego, przytrzymuje za plecak, wczepia się w ubranie. Choć się przeredza, do ostatniej chwili towarzyszy taternikowi do wejścia w ścianę. Wandzie też.

Kosówka to też zapach. Specyficzny. Niepowtarzalny. Nie do zapomnienia. Zapach Tatr.



W 1968 roku.

II

TAKA TAM... WANDA

Nikomiu z nas życie, [...] bardzo łatwo nie idzie, ale cóż robić, trzeba mieć odwagę i głównie wiarę w siebie, w to, że się jest do czegoś zdolnym i że do tego czegoś dojść trzeba.

MARIA SKŁODOWSKA-CURIE

Niebo było wysokie, czyste, gwiazdziste.

Z każdym dniem karawana zbliża się do bazy wyprawowej pod Noszakiem, najwyższym szczytem Hindukuszu afgańskiego, prawdziwej mekki polskich wspinaczy.

Kiedy w latach pięćdziesiątych zostają zdobyte kolejne dziewicze ośmiotysięczniki Ziemi, polscy taternicy o podbojach w Himalajach mogą najwyżej poczytać. Namiastką gór wysokich jest dla nich właśnie Hindukusz, do którego z kraju – aż do radzieckiej granicy – można było dotrzeć za rodzime złotówki.

Patrzą w niebo wysokie, czyste. Reinhold Messner jest już uznaną gwiazdą alpinizmu; dziewczyna, która siedzi obok – jeszcze nie. Rozmawiają. O pewnych rzeczach mówi się łatwiej z oczami utkwionymi w nocnym niebie, zwłaszcza jeśli jest się introwertykiem, który w ogóle o sobie mówi rzadko. W mroku nie widać wyrazu twarzy, błysku oczu, zaciśniętych ust. „W górach czułam się jak w domu – mówi dziewczyna – wkrótce znaczyły dla mnie wszystko, ponieważ tam byłam szczęśliwa”¹. Szczęśliwa, nieszczęśliwa, dom, góry. Messner odnosi wrażenie, że dla łagodnej, delikatnej, ważącej każde słowo rozmówczyni „góry to właśnie ucieczka przed nieszczęśliwym życiem”².

Wyjazdy do Afganistanu były mało kosztowne. Bilet kolejowy na pociąg do Duszanbe, a potem z Duszanbe do Kabulu kosztował mniej niż średnia polska pensja. Można też było jechać ciężarówką; paliwo w Turcji i Iranie nie było drogie. Gorzej, mimo dobrych chęci sponsorów, przedstawiał się stan techniczny wypożyczanych ciężarówek. Długość i jakość pokonywanych dróg zdecydowanie przekraczała ich możliwości. Mimo to

przez dwadzieścia pięć lat, do wycofania się Rosjan z Afganistanu (1989), w Hindukusz wyjechało około stu polskich wypraw. Nasi rodacy musieli być pomysłowi. Dobre warunki do wspinaczki zimowej Tatry stwarzały jedynie zimą, ogólnie brakowało sprzętu i pieniędzy, co Polacy z powodzeniem nadrabiali niespotykaną górską witalnością i aktywnością. Sprzyjała temu, zdaniem Christine de Colombel, znacznie mniej skostniała i zhierarchizowana, niż na przykład we Francji, struktura klubów wysokogórskich.

Ona. Maria z Tyrszkiewiczów, rodziny z tradycjami. Prapradziadek ginie w powstaniu styczniowym. Pradziadka przed wywózką na Sybir chroni rola zakrystiana. Wypiera się herbu, majątek zabierają Rosjanie. Dziadek jest plenipotentem w majątku Ogińskich w Pługianach, gdzie młodzi poznają się, zakochują i pobierają.

Pługiany leżą na Żmudzi, na rdzennej Litwie. Kilkadziesiąt kilometrów od nadmorskich diun. „Pięknie – mówi Rutkiewicz – choć płasko, niedaleko Bałtyk i Kłajpeda”³.

On. Zbigniew Błaszkiwicz. Inżynier. Z inteligenckiej rodziny zasłużonego dla Łańcuta profesora gimnazjalnego. Studia na Politechnice Lwowskiej. Urodzony sportowiec: pływa, trenuje dżudo, gimnastykę. Poliglota, wynalazca.

Ona. Nieukończone studia na wydziale historii uniwersytetu w Kownie. Błądząca myślami w innych światach i cywilizacjach, przesiąknięta okultyzmem, religiami Dalekiego Wschodu. Pianino, książki i hieroglify, które potrafi odczytywać. Empiryczne rozumienie życia i świata, silne poczucie niezależności. Uparta, lubi postawić na swoim. Bardzo dba o wygląd. Lubi gości, przyjęcia. Co w wieczornym menu? Pieczeń? Ile rodzajów? A na deser? Tort! Do tego koniecznie kawa. Palona w domu, oczywiście. Praktyczne myślenie, precyzja, planowanie – to nie ona. No i tajemna księga, którą często studiuje! Dla niej najważniejsza. Ta od innych światów, kosmosu i transcendencji.

On. Pragmatyk. Samotnik. Nieufny w stosunku do otoczenia. Ciągłe coś by poprawiał, wymyślał, konstruował. Oszczędny, zachowawczy. W wiecznym strachu o jutro.

Oboje ładni, przystojni, zdolni, zadbani. Ale z jednej strony tajemnice szczątków Jagiellonów w wileńskiej katedrze i himalajskie światy Nikołaja Roericha, z drugiej wynalazki, praca w ogrodzie i ciągły niedo-

synt w projektowaniu, przerabianiu, doskonaleniu. Może dałoby się to pogodzić, gdyby Maria, nieco złośliwie zwana przez rodzinę Mary, czasem zesza nieco na ziemię.

Rozdźwięk pomiędzy małżonkami nie wróży dobrze na przyszłość. Mieszkają na ulicy Dariaus ir Gireno 23 w Płungianach. Dom jest drewniany, z gankiem, strychem i dwoma wejściami. Z jednego, tego od tyłu, dzieci mogą zbiegać łąką aż do rzeki Bobrungi – dwoje dzieci, które im się na Żmudzi urodzą: w lipcu 1941 roku syn Jurek Leszek, a 4 lutego 1943 roku córka Wanda Halina.

Pożółkły papier, wyraźne, odręczne pismo, pieczętka *Burmistras: Gimino Metriku Išrašas, Plunge*. Metryka urodzenia Wandy Haliny Błaszkiwicz. Przy dzieciach rodzice mówią po litewsku. Po co maluchy mają o wszystkim wiedzieć?

Wyprawa Messnera na Noszak – dwie komercyjne prowadzone przez niego grupy – jest świetnie wyposażona. Mimo to Tyrolczyk wymienia swoją żywność, nawet szynkę parmeńską, na polski chleb i polskie konserwy. Wieczorami też zagłada do Polaków. Wspólnie śpiewają, jedzą. Albo patrzą z Wandą w niebo. Wysokie, czyste, gwiazdziste. Rozmawiają.

W relacjach małżonków przyście dzieci na świat niewiele zmienia. Zmienia się natomiast sytuacja rodziny po wkroczeniu Sowieców. Z systematycznie rozkradanego majątku Błaszkiwiczów niewiele zostaje. Zbigniew zbiera gromadkę i dołącza się do długiej karawany uciekinierów: wraca do Łańcuta, do swych rodziców. W tłukących się na zachód wagonach czas płynie wolno. Straszliwie wolno. Razem ze świtem, który niespiesznie rozjaśnia okna bydłących wagonów, do serc wślizgują się strach i niepewność jutra. I tęsknota za tym, co utracone*.

Przesiedleńcy, uciekinierzy. Ich dobytek to często ułamek dorobku całego życia spakowany do jednego, dwóch kufrów czy walizek. Pieniądzy też nie za wiele. Książek zabierać nie wolno, ale tajemną księgę Maria jednak zabierze.

* Po raz pierwszy od czasów dzieciństwa Wanda pojedzie do Płungian w 1988 roku. Grobu babki, pochowanej na cmentarzu w Šilutė, już nie odnajdzie.

Rok 1946. W Łąncucie Błaszkwiczowie nie zagrzeją miejsca. Relacje między matką Zbigniewa a Marią są trudne. Zresztą czego innego można było się spodziewać? Doświadczona pani domu kontra wielbicielka dziwnych ksiąg, która codzienne, prozaiczne obowiązki wykonuje nie tyle z trudem, ile bardzo niechętnie. Rok po przyjeździe do Łącuta rodzi się Janina, czyli Nina, druga córka. Coraz więcej niechęci, coraz więcej obowiązków. Zbigniew wyjeżdża do Wrocławia w poszukiwaniu pracy i domu. Rodzina dołączy do niego później.

Miasto podupadłe, zniszczone wojną. O pracę trudno. Łatwiej o dom. Stoi w dzielnicy Zacisze, przy ulicy Samuela Dicksteina, nomen omen matematyka, naprzeciwko parku Szczytnickiego. Dom jest duży, piętrowy, ale to ruina, z sypiącymi się stropami i pozostałościami po właścicielach, takich, którzy wyjeżdżając w pośpiechu, niemal zostawiali na stole napoczęty obiad. Zastawa, książki, drewniany stół, prymitywny piecyk, nawet wanna, tylko nie ma ciepłej wody. Dom jest za duży i Błaszkwiczom grozi dokwaterowanie. Zbigniew znajduje na to radę: nie tylko nic w domu nie naprawia, ale jeszcze powiększa zniszczenia, żeby zniechęcić potencjalnych współlokatorów. Za to w piwnicy znajdzie się miejsce dla kozy – w mieście brakuje żywności, więc kur, królików czy świń po domach trzyma się wiele.



Rodzinny dom rodziny Błaszkwiczów
przy Dicksteina we Wrocławiu.

Tymczasem małżeńskie status quo trwa. Maria i Zbigniew się nie rozumieją. Są z innych planet. On – niezwykle inteligentny, ekscentryczny, wiecznie zajęty pracą nad kolejnymi, choć mało przydatnymi wynalazkami. Wiedza i patenty nie na wiele się zdają, inżynier Błaszkiwicz zarabia grosze*, które na domiar złego skrupulatnie żonie wydziela. Ona, pochłonięta swoimi dziwnymi księgami, które starannie chroni przed wzrokiem obcych, wbrew zachętom męża o pracy nawet nie myśli. Z domem sobie nie radzi i nawet nie próbuje. Wyjątkiem jest kuchnia: gotuje dobrze, zwłaszcza gdy kogoś się spodziewa. Korzysta z dobrodziejstw ogrodu, którym zajmuje się Zbigniew. Za to zakłada Towarzystwo Agni Jogi. O dzieci dba na swój sposób. Muszą znać dobre maniery, muszą umieć zachować się przy stole, wiedzieć, co wypada, a czego nie.

Wanda ma cztery lata. Typowe powojenne dziecko. Dzieciństwo jak wiele innych: niby-dzieciństwo, niby-lalka. Może jedyna, jaką mała Wanda ma. Niby-lalka, bo znaleziona bez głowy. Duża, szmaciana, rodzice dopasowują jej znalezioną plastikową główkę, za małą. Wygląda dziwacznie, makabreska, ale Wandę cieszy. Niby-lalka, niby-dom, spokojny, inteligencki. Niby.

Niebo jest wysokie, czyste, gwiazdziste. Tylko tego wieczoru tak wiele mówiła o sobie, twierdzi Messner.

Naprzeciwko domu na Dicksteina jest park. Dla dzieci to prawdziwy raj. Ojciec wykombinował dla nich narty. Trochę śmieszne, ale są. Kijki? Zwykle patyki, ale z wielkiej (w dziecięcej wyobraźni) góry Chimborazo koło Wrocławia szusuje się z nimi wyśmienicie! Zimą dzieci jeżdżą też na łyżwach, które Zbigniew poprzykręcał swoim sposobem do butów. Skok wzwyż? Proszę bardzo! Stojaki i tyczki też zrobił. Nie szkodzi, że to prowizorka, ale uczy podstaw lekkoatletyki. Ale rywalizacja? Boże uchwaj! A po co? Zdaniem Zbigniewa sport powinien służyć zdrowiu, rozwojowi człowieka, kontaktowi z naturą, ale nie rywalizacji. Wanda nie podziela zdania ojca. Ot, choćby strzelanie z łuku: ma w sobie wszystko to, co w sporcie może się jej podobać, choć jeszcze nie zdaje sobie z tego sprawy. Rywalki i rywale, potrzeba precyzji i koncentracji, wysiłek i wy-

* Niektóre źródła twierdzą coś wręcz przeciwnego: Błaszkiwicz zarabiał dobrze, jedynie skąpił środków na domowe wydatki.

nik. Choć na zdjęciu z sąsiedzkich zawodów mała Wanda zadowolona z wyniku chyba nie jest, coś poszło nie tak: mały rywal z uniesionymi rękami (wygrał?), koleżanki-rywalki przyglądają się Wandzie bez uśmiechu i sympatii, a ona? Lewa ręka z zaciśniętą piąstką, prawa wyraźnie nabiera rozmachu... Napięcie na buzi.

Motor, na motorze dziecko. Śliniaczek pod brodą, otwarte usta. Drugie dziecko, starsze, dziewczynka z wielką kokardą na ciemnej głowie. W skupieniu karmi łyżeczką młodszego brata. I drugie zdjęcie: cała rodzina, z najmłodszą Niną. Po prawej stronie dziewczynka z kokardą patrzy wprost w obiektyw. Nad wiek poważna, ciemne, uważne oczy, ani cienia uśmiechu. Dopiero na zdjęciu komunijnym jest inna. W jednej ręce książeczka, w drugiej komunijna świeca. I jeszcze jedno zdjęcie: Wanda na stołeczku przed węglową kuchnią z białą obudową. Obiera ziemniaki. Łupiny spadają do stojącej przed nią dużej miski.

Zakupy, pomoc przy obiedzie i opieka nad młodszym rodzeństwem. Nina rośnie i chętnie trzymałaby się Wandzinej spódnicy, ale starsza siostra tego nie znosi; czuje się ograniczana w swej wolności – starsza siostra, czyli paroletnia Wanda! Robi więc swoje: posłusznie sprząta, przynosi zakupy, myje ręce po obieraniu ziemniaków, a potem pozbywa się towarzystwa siostry i z ulgą wyrывa się do „swoich spraw”. Bo „swoje sprawy” ma od początku. Chociażby buszowanie po okolicy, wdrapywanie się na pobliskie ruiny czy bardziej „dorosłe” zabawy Jureczka, starszego brata, i jego kolegów. A wakacje? Wakacje trójka małych Błaszkiwiczów spędza w Łańcucie, u dziadków na Wisielówce. Zdrowo jedzą, całe dnie biegają na świeżym powietrzu.

Dzieciaki mają dobre relacje z ojcem. To on zaszczepia w nich sportowego ducha, organizuje zabawy, skoki. O to nietrudno. Park Szczytnicki czeka po drugiej stronie ulicy. Wystarczy wyjść z domu, choćby do szkoły. Do podstawowej Wanda trafia wcześniej, i to od razu do drugiej klasy. Udało się to dlatego, że akt urodzenia córki, przetłumaczony z litewskiego, Zbigniew świadomie zanoszą do szkoły dopiero, gdy Wanda jest już w klasie czwartej. Była dojrzała i obyta jak na swój wiek, ale może ojciec chciał, by jak najszybciej wyrwała się z domowych obowiązków? I z rodziny, zdaniem niektórych dość dysfunkcyjnej, choć Rutkiewicz zdecydowanie unika podobnych skojarzeń. Ponoć bywa, że w kuchni latają talerze

i garnki, a awantury małżonków kończą się zażyciem waleriany. Ojciec jakby matce nie dowierza; energii i sił starcza jej ledwie na jakie takie zajęcie się domem i dziećmi. Jakie takie, więc sporo obowiązków spada właśnie na Wandę. Pasa kozę w parku Szczytnickim i łapie równowagę na ogrodzeniu na tle parkowych drzew. Będzie też inna koza, a nawet owca, ale te wkrótce zapełnią spiżarnię Błaszkiwiczów. Domowe, cięższe prace i obowiązki spoczywają na Zbigniewie. Pierze, sprzęta, ogarnia dzieci. W ruch idą kotły, balie (nawet wirówka), szczotki, pasta do podłogi. Tak się uczy dzieci porządku i odpowiedzialności. Ale na zabawę też musi być czas. Pieniądzy w domu jak na lekarstwo, ale przecież Zbigniew wszystko potrafi zrobić sam: trzyosobową hulajnogę, nawet z dzwonkiem, a jakże! Latawiec, łyżwy przykręcane do butów (nie na kluczyk) – prawdziwa duma Wandy. W domu jest też składany kajak do pływania po Odrze.

Dzieciństwo Wandy wydaje się krótkie i mało dziecięce, do czego przyzna się Barbarze Rusowicz w wywiadzie-rzecz. Czteroletnie dziecko i domowe obowiązki? Zakupy i opieka nad młodszym rodzeństwem?

W szkole nikt o niczym nie wie, a Wanda na nic nie narzeka. Jest prymuską, lubianą, ale trzyma się trochę na dystans. Zaprasza koleżanki do siebie, ale nie reaguje na coraz bardziej docieklive pytania, stwarza mur, który skutecznie odgradza ją od ciekawości czy zwykłego wścibstwa. W przyszłości będzie zapraszać swoich kolegów ze wspinaczek, ale nawet sporadyczny kontakt z ojcem Wandy, niechętnym takim wizytom, nie robi na nich najlepszego wrażenia.

Ona sama, przecież jeszcze dziecko, nie bardzo wie, dlaczego w domu jest bieda. Milczy*. Zresztą żadne z trójki rodzeństwa nie chce powiedzieć wprost, że matka nie dawała sobie rady z codziennością, z realiami życia; że była nieustannie pogrążona w świecie ezoteryki, „w kosmosie”, o którym tak często mówi.

Wielkanoc 1948 roku radości nie przynosi. Pięcioletnia Wanda biegnie do domu cała we łzach. Miała być świetna zabawa. Jureczek i jego koledzy, dzieci sąsiadów, są o tym przekonani. Tyle różnych rzeczy można znaleźć wśród ruin, ale niewypał? Nieczęsto się zdarza! Wybuchnie, aż miło! Trzeba rozpałić ognisko, ale to nie dla dziewczyn, nie dla ciebie,

* Wiele lat później Wanda Rutkiewicz będzie wycofywać z autoryzowanych książek każdą zbyt osobistą uwagę.

Wandzia, ty idź do domu! Wandzia biegnie. Płacze ze złości. Skarży się. Matka zrzuca fartuch i pędzi. Gna ile sił w nogach. Aż dziwne, że może nimi przebierać, że przażenie nie wbiło jej w ziemię. Z tyłu Wandzia, ledwie nadąża.

Wybuch jest tak potężny, że z okien w sąsiednich domach wylatują szyby. Nim opadający grubą warstwą pył dosięgnie ziemi, w drgającym jeszcze powietrzu zawisnie tylko rozdzierający ludzki krzyk.

Nie ma Jureczka. Taki mądry, śliczny chłopczyk. Czarne oczy i długie rzęsy. Nie ma dziecka. Jest tylko rozpacz.

Półtora roku później na świat przychodzi Michał. Zajmie miejsce Jureczka? Raczej nie. To miejsce zajmie Wanda.

Ojciec zaczyna odsuwać się od rodziny, żyć swoim życiem, osobnym, w zamkniętym pokoju na piętrze. Swoje wiktuały trzyma w zamkniętej lodówce, ale daje żonie pieniądze na dzieci i na utrzymanie. Bieda jest dlatego, że Błaszkiwicz zarabia grosze, choć inni twierdzą coś przeciwnego: ceniony projektant i inżynier zarabia, ale na dzieci płaci tylko alimenty. Założył przecież drugą rodzinę. Maria mogłaby pracować, ale nie chce, a młodym Błaszkiwiczom dobre wychowanie nie pozwala mówić o kłótniach w domu. I nie chcieliby, by ktoś dociekał przyczyn odejścia ojca i zamieszkania, zresztą niedaleko Dicksteina, z inną kobietą. Oficjalny powód – niezgodność charakterów i brak szans na porozumienie.

Wanda mówi, że po odejściu ojca na matkę spadnie cały ciężar zajmowania się dziećmi, a na pytanie Barbary Rusowicz o próby podjęcia przez nią pracy odpowiada wymijająco. Były alimenty, mówi. To były trudne powojenne czasy, więc niekiedy Mary chwytała się dorywczych prac, co nie zmienia faktu, że to Wanda pali w piecu i sama sobie robi śniadanie; zresztą każdy je osobno.

Michałem także musi zajmować się Wanda. Różnie ten obowiązek pojmuje i różnie go wypełnia. Michałowi zapadło w pamięć zwłaszcza improwizowane przebranie za wróżkę, które siostra sprytnie wykorzystała, by „zaczarować” brata i unieruchomić go tak, by nie przyszło mu do głowy czmychnąć w ślad za nią przez okno. Ale Michał Wandzi wychowawczych kłopotów nie sprawia, na niego nie narzeka, nawet gdy chłopiec narobi w majty. Gorzej z Niną. Ale przywódcza Wanda radzi sobie, według Michała, dobrze; według Niny – jest zbyt surowa.

Michał Błaszkievicz ma szczupłą twarz, szpakowate włosy, ciemne oczy Wandy. Może tylko nie ma w nich tego wewnętrznego żaru, o którym napisze w swym eseju Witold Zalewski⁴. Ale jest w Michale ten sam spokój, w ruchach, w wyważonych, przemyślanych wypowiedziach, w zachowaniu. Michał jest zamiast Jureczka. Urodził się, by wypełnić puste miejsce po najstarszym bracie. Bracie, o którym potem matka w ogóle nie wspominała. Nawet mieli o to do niej żal. Przecież Jureczek kiedyś żył, istniał. Dla Wandy był inspirujący, mądry. Na cmentarz Świętego Wawrzyńca Maria chodzi tylko raz do roku, 1 listopada, ubrana na czarno.

Sytuacja domowa Wandy nie umyka uwadze wychowawców i nauczycieli. Znajdują dyskretny sposób wsparcia zdolnej i ambitnej uczennicy: może udzielać korepetycji. W opinii Szkolnej Komisji Rekrutacyjnej dołączanej do uczniowskiego kwestionariusza dla kandydatów na studia nauczyciel podkreśla (długopisem), że uczennica Błaszkievicz powinna otrzymać zasiłek pieniężny, bo rodzina utrzymuje się z alimentów.

Dorośla Wanda o ojcu prawie w ogóle nie mówi. Albo rzadko. Tak jak teraz, pod wysokim, czystym, gwiazdzistym niebem Hindukuszu.

Wyparcie? Kiedy Błaszkieviczowie oficjalnie się rozwodzą, Wanda jest już dojrzałą kobietą. Podczas ostatniej wizyty ojca na Dicksteina jako jedyna z rodzeństwa go nie pożegna. Po prostu nie chce. Tak, była nim zafascynowana. Ciekawy, wręcz zachłanny na odkrywanie świata, otwarty, wszechstronny, inteligentny. Kulturalny, małomówny, dziś powiedzieliśmy: wycofany. Samotnik. Wyrobił w dzieciach zamiłowanie do nauki, porządku, konsekwencji. „Zupełnie inaczej jak mama” – mówi po chwili wahania Janina Fies, młodsza siostra Wandy⁵.

Może dzięki temu Rutkiewicz była, w opinii Christine de Colombel, przesadnie uporządkowana, wszystko musiało być na papierze, tu pieczętka, tam podpis, data. Wszystko. Jeśli brakowało, coś było niekompletne, to tak, jakby nie było tego wcale. Tak właśnie Francuzka wspomina spotkanie w Austrii słonecznym latem w kwestii ustaleń organizacyjnych przed wyprawą na K2.

Jednak przypisywanie wszelkich ambicji i dokonań Wandy chęci pokazania ojcu, jaka jest mądra, zdolna, zaradna i jak wielką krzywdę jej zrobił, opuszczając rodzinę, jest chyba przesadzone.

Nigdy o tych sprawach nie wspomina ani koleżankom, ani – później – wspinaczkowym partnerkom. Drętwieje na samo pytanie. O sprawach osobistych się nie mówi. To prawda, matka wszystko straciła



w czasie wojny, nie nawykła też do jakichkolwiek obowiązków domowych. Pianino, herbatka, dyskusje – tak. Ale nie sprzątanie, praca zawodowa, już samo zajmowanie się dziećmi przecież wymaga dużo wysiłku. Ale rzeczywistość Mary została dawno temu w Płungianach. Zmieniły się Płungianie, zmieniły się Litwa, Polska, wszystko się zmieniło. Maria, arystokratka, Kresowianka – nie. W kredensie wciąż leżą tajemne książki.

Niebo jest wysokie, czyste, gwiazdziste. W bazie pod Noszakim Messner i Wanda stoją pod nim pośród lodowców. Wciągają głęboko w płuca zmrożone powietrze i rozmawiają.

Liceum na Parkowej. A dokładniej II Liceum Ogólnokształcące. Klasa A, łacińska. Poranne apele, dyscyplina, wyczuwalny duch stalinizmu. Wreszcie odwilż. Co robi uczennica, zazwyczaj dość poważna i mniej trzpiotowata niż koleżanki, by wyrazić ożywczy duch swobody? Wkłada noszone wówczas grube pończoszki z kolorowymi haftami od tydek w górę. Zaskakuje tym koleżanki, nieprzyzwyczajone do jakichkolwiek manifestacji z jej strony, ale nauczycielki też.

Szkoła wyrabia w niej, czy raczej rozwija, wyjątkowego ducha sportowego, ale pogłębia też wiedzę humanistyczną. Dobrze postawiona łacina, pracowicie biologiczna i chemiczna – Wandzie to odpowiada. Jest zdolna, bardzo zdolna, i wszystkiego uczy się bardzo szybko, ale są przedmioty, do których lgnie w sposób naturalny: przedmioty ścisłe, matematyka, logika.

Ale to na szkolnym boisku Wanda jest prawdziwą gwiazdą. W szkole są dwie hale sportowe, boisko i wioślarnia. To też jej odpowiada, i to bardzo. Najbardziej. Już wtedy nieźle gra w piłkę siatkową; na parkiecie się rozluźnia. A jeszcze są skok wzwyż, w dal, pchnięcie kulą, rzut dyskiem, oszczepem, biegi, a nawet gimnastyka akrobatyczna. Wszystko. W Międzyszkolnym Klubie Lekkoatletycznym „Parasol”, do którego oczywiście należy, trenerzy nie mogą uzgodnić, jaką dyscyplinę powinna trenować na poważnie. Dziewczyna o kruczoczarnych włosach wygrywa wszystkie konkurencje, nic więc dziwnego, że trenerzy od biegów, rzucania czy skakania starają się ją przyciągnąć. I we wszystkim jest najlepsza, przebija nawet chłopców, co z podziwem wspomina Jan Bortkiewicz. Opowiada też, z wyraźną nutą żalu w głosie, jak trener dziewcząt z „Parasola”, ku zazdrości cichych wielbicieli Wandy, po treningach odwoził ją do domu swoim czerwonym wystrzałowym motocyklem marki Jawa.

Jakby tego było mało, Wanda jest przykładną harcerką 18. drużyny imienia Batalionu „Zośka”, bierze udział w konkursach recytatorskich i szkolnych spektaklach teatralnych. Raz nawet udaje jej się być statystką w filmie kręconym dla Wytwórni Filmów Fabularnych, jednak wbrew trochę zaskakującym jak na inżyniera pragnieniom ojca na dłuższą metę siebie przed kamerą raczej nie widzi. Przynajmniej nigdzie o tym nie wspomina. Najlepiej idzie jej z matematyką, ale, jak mówi jej szkolny kolega, profesor Andrzej Lange, „potrafi też się wypowiedzieć”⁶.

We wszystkim, co robi, od początku ujawnia cechy, które później wywołają konflikty, przysporzą jej niechęci, a nawet wrogów. Bezkompromisowość, bezpośredniość w okazywaniu własnego zdania, dążenie do bycia lepszą, coraz lepszą, najlepszą, niezależnie od dziedziny. Jej koleżanki z tamtych czasów są przekonane, że tą ambicją, tymi staraniami i ciągłą dążnością do bycia *the best* chciała udowodnić ojcu, że odchodząc, popełnił błąd. „Wanda otwarcie mówiła, że ojciec był dla niej zawsze motorem napędowym do wszelkich działań w życiu” – tłumaczy Barbara Grabowska. „To on stał za jej ambicją, dążeniem do sukcesów i parciem do góry”⁷.

Wandę pociągało to, co nowe, niepoznane, ekscytujące. Przejazdzka na koniach podczas wycieczki szkolnej to nic niezwykłego, inni uczniowie też to robili, ale jazda na oklep? Po chłopięcemu? Nauczycielki mocno kręcą nosem, ale Wanda się nie przejmuje.

Jest towarzyska, ale w bliższych relacjach raczej chłodna. Szkoda, kręcą się koło niej chłopcy, a koleżanki chciałyby się z nią zaprzyjaźnić.

Jest śliczną dziewczyną, choć na szkolnej fotografii zaskakująco pulchną. Kiedy się uśmiecha, na jej zaokrąglonej twarzy tworzą się dołeczki. Lubi i potrafi się wyróżnić. Na maturalnym zdjęciu żadna z dziewcząt nie ma kwiatka we włosach; żadna, prócz Wandy.

Po lekcjach i treningu przydaje się trochę rozrywki. Wanda od niej nie stroni, broń Boże. Tuż obok szkoły jest kino, do którego dzieciaki często się wyrrywają. A w domach spotykają się znowu, na prywatkach. Tu króluje nie Wanda, lecz Brenda Lee, rock and roll, country, jambalaya, *I'm sorry, so sorry...* Speedy Gonzalez znowu śmiga przez meksykańską pustynię. Czasem tylko może za bardzo hałasuje.

To rzeczywiście była zadziwiająca dziewczyna! – przyznaje jeden ze szkolnych kolegów Michała Błaszkiwicza z ósmej czy dziewiętej klasy, przyszedł geolog. Ich prywatka w domu przy Dicksteina jest głośna, według Wandy zbyt głośna. Interweniuje. Przecież to Beatlesi! – oburzają się koledzy. No i co z tego? Wanda jest obcesowa i stanowcza: mają ściszyć muzykę, koniec kropka.

Jeśli ktoś, tak ja Wanda, idzie do szkoły rok wcześniej, i to od razu do drugiej klasy, to studia zaczyna w wieku lat szesnastu. A dokładnie szesnastu i pół. Oczywiście na Politechnice Wrocławskiej. Innej opcji sobie nie wyobraża. W domu wiesza na ścianach portrety naukowców, matematyków, fizyków. A w klasie, jeśli już w kimś się podkochuje, to ten ktoś musi być superzdolny, i raczej nie w dziedzinie muzyki.

Kwestionariusz na Wydział Łączności składa jeszcze przed egzaminami maturalnymi. Na świadectwie dojrzałości ma osiem czwórek i siedem piątek. Od jakiegoś czasu wiedziała, że chce studiować, jak to się wówczas mówiło, maszyny matematyczne. Dostaje się bez problemu, choć nieoczekiwanie fizykę zdaje ledwie na trójkę. Rozpoczyna w październiku 1959 roku: bardzo zdolna i mocna w przedmiotach ścisłych, ale ten wydział jest szczególnie wymagający, a poziom wywindowany wysoko. W matematyce i w tym, co dziś nazywa się informatyką, nastąpiły inne czasy. Jak Wanda sama przyznaje, na początku miała pewne problemy, ale skoro znajdowała czas i siły nie tylko na własne zajęcia przy ulicy Prusa, ale również, jako wolny słuchacz, na wykłady z fizyki, astronomii czy prawa na Uniwersytecie Wrocławskim, to znaczy, że jakoś dawała sobie radę. Po pierwszym roku nawet próbuje dostać się na studia do Związku Radzieckiego, lecz nie zostaje zakwalifikowana.

Teraz może też wspomóc rodzinę finansowo: tysiąc złotych stypendium naukowego to sporo. Później taką samą kwotę, tak zwane kadrowe, będzie otrzymywać w kadrze olimpijskiej. Tak, tak, bo na boiskach akademickich znowu jest w czołówce. Na lekkoatletycznych mistrzostwach Polski klubów międzyuczelnianych pcha kulą tak daleko, że zostawia w tyle wszystkie konkurentki. Jednocześnie wkłada koszulkę Akademickiego Związku Sportowego w piłce siatkowej. W 1963 roku w plebiscycie na dziesięciu najlepszych sportowców uczelni technicznych zajmie I miejsce, rok później zostanie najlepszym sportowcem Politechniki Wrocławskiej. Oczywiście przeważają lekkoatletyka i siatkówka. Zawody, treningi, wyjazdy. Szatnia, rywalizacja, udane ścięcie, blok, przepocona koszulka. Mistrzostwa Polski studenckie, juniorów czy młodziczek. Z akademickiej drużyny szybko wyłuskuje ją Gwardia Wrocław. Gra z numerem 3, czasem 11, 12. Robi kolejny krok: w 1961 roku otrzymuje powołanie do kadry junierek i wyjeżdża z reprezentacją Wrocławia na zawody o Puchar Ziem Nadodrzańskich i Nadbałtyckich – to jej pierwsze mecze międzynarodowe. W 1965 roku z reprezentacją AZS-u wyjeżdża na letnią uniwersjadę w Budapeszcie. Wreszcie nadchodzi powołanie do młodzieżowej reprezentacji Polski. Na ścianie, obok dyplomu uczestnictwa w międzynarodowym turnieju piłki siatkowej Węgry–NRD–Polska, zawiśnie wkrótce dyplom wagi najwyższej: potwierdzenie zdobycia trzeciego kółka olimpijskiego. Wanda zostaje powołana do młodzieżowej kadry olimpijskiej. Trzecie kółko i ostatnie. Siatkówce przybył śmiertelny rywal – góry.

Góry z wolna zaczynają przejmować kontrolę nad jej życiem. Wanda jeszcze próbuje godzić siatkówkę, treningi, mecze i wspinanie. Jeszcze zdąży, choć z trudem, dotelepać się pociągiem z Zakopanego, żeby wyjść na boisko Gwardii. Niewątpliwie fizycznie znakomicie daje sobie radę, gorzej z czasem.

Niebo nad Noszakiem jest wysokie, czyste, gwiazdziste.

Wanda mówi, że po studiach, gdy „dorośnie”, chciałaby móc wykonywać swój zawód. Marzy czy, na wszelki wypadek, się asekuruje? Gdyby w górach coś poszło nie tak, zawsze jest to jakaś furтка. On, Reinhold Messner, też był na studiach technicznych, ale ich nie ukończył. Ale przecież Wanda musi wiedzieć – myśli Tyrolczyk – że alpiniści nigdy nie dorastają?

Analiza układów hybrydowych – to tytuł pracy magisterskiej dyplomantki Wandy Błaszkievicz. Dyplomantka ma lat dwadzieścia jeden i pół i broni ją na piątkę. Zostaje inżynierem, potem starszym asystentem, wreszcie, od 1972 roku, adiunktem w Instytucie Automatyki Systemów Energetycznych przy ulicy Wystawowej we Wrocławiu. Dobrze się spisuje. Sumienna, zdyscyplinowana, samodzielna w decyzjach, z dobrą znajomością niemieckiego. Cieszy się sympatią zespołu. Ale długo we Wrocławiu nie pozostanie. Musi dokonać wyboru: praca i sport, tak, tylko który? Zmiana przepisów w siatkówce, kontuzja, jakiej się nabawiła, czy brak perspektyw do rozwoju indywidualnego? Co zadecydowało o zerwaniu z siatkówką? Trudno powiedzieć. Być może wszystko po trochu. Po wyleczeniu kontuzji Błaszkievicz już na boisko nie wraca.

„Nie wiem, jakie szczyty Wanda osiągnęła w swojej inżynierskiej działalności, ale [podczas wyprawy w Pamir⁸] zapęniała swój notatnik rysunkami elektronicznych schematów. Gdy któregoś razu zastałem ją przy tym, zakryła kartkę ręką. – Wiesz, co rysuję w tym notatniku w Warszawie? – próbowała się tłumaczyć. – Nie, nie elektroniczne schematy. Sylwetki szczytów. A teraz – dodała – góry trochę mnie zmęczyły. Mam ochotę na coś innego” – pisze rosyjski dziennikarz Eduard Aksielrod z „Szabat Szalom”⁹.

Wanda lubi to, co robi. „Dorośla” i chce wykonywać swój zawód. Wkrótce siądzie przy innym biurku, na innej ulicy i w innym mieście:



Z Janem Holnickim-Szulcem.

Instytucie Maszyn Matematycznych w Warszawie, która, jak liczy, ma ją przybliżyć do celu, czyli do jeszcze wyższych gór.

Niełatwo pogodzić schematy elektroniczne z górami. Chociaż czasem się udaje: na Hali Goryczkowej na przykład. Krótco po Ewerescie Wanda daje się namówić koleżance na udział w zawodach informatyków: będzie reprezentować instytut w narciarstwie zjazdowym. Ku zaskoczeniu i widzów, i rywali zdobywczyni Everestu przystępuje do rywalizacji w długiej czarnej spódnicy. Kończy przejazd z całkiem dobrym wynikiem, co wydaje się dość dziwne, jako że wtedy na nartach jeździć jeszcze nie umiała.

W Pamiro-Ałaju Wanda pojawia się pierwszy raz w roku 1970. Ośmioosobową wyprawą kieruje Andrzej Zawada. Późniejszy Lider* poznaje Wandę pięć lat wcześniej w Chamonix, gdzie Polacy, korzystając z gościnności tamtejszego klubu wspinaczkowego (czytaj: darmowe biwakowanie), zorganizowali sobie obóz treningowy. Wanda dołączy do nich na własną rękę. „Dwudziestodwuletnia, piękna dziewczyna o czarującym uśmiechu i długich, zgrabnych nogach, wzbudzała ogólne zainteresowanie. Miała ujmujący sposób bycia. Jakąś wyjątkową łagodność w sposobie poruszania się i mówienia. Mogła być wzorem wytwornej panienki ze szlacheckiego dworu, delikatnej i romantycznej. Zupełnie odbiegała od swoich francuskich rówieśniczek, młodzieżowych feministek o hipisowskim, hałaśliwym sposobie bycia. Początkowo nikt z nas nie zdawał sobie sprawy, że ta spokojna, trochę jakby nie z tej epoki dziewczyna ma żelazny charakter, ogromną siłę woli i potrafi być niezmiernie zdyscyplinowana w działaniu”¹⁰.

Nikt nie zdawał sobie sprawy. No pewnie, była to była, taka tam... Wanda.

Tymczasem na swojej pierwszej wyprawie w Pamir dyscyplinę i charakter „taka tam Wanda” pokazuje już w samolocie. Nie jest już Wandą Błaszkwicz, tylko Wandą Rutkiewicz, świeżo poślubioną żoną Wojtka, również taternika, która zamiast w podróż poślubną z ukochanym jedzie na wyprawę w góry wysokie. Musi otrzeć łzy tęsknoty, wylwane w samotności na fotelu w tylnej części samolotu, i na prośbę kierownika wyprawy, Andrzeja Zawady, dołączyć do kolegów. Robi to bez wahania.

* Na miano Lidera Andrzej Zawada zasłużył sobie dzięki opinii znakomitego kierownika wielu udanych polskich wypraw w góry wysokie.



Pamir. Południowa grań
Piku Eugenii Korżeniewskiej.

Polacy nie będą w Pamirze sami. Cały ten rozległy obszar, leżący częściowo w Tadżykistanie, częściowo w Afganistanie, był kontrolowany przez ZSRR. Oprócz paszportu należało mieć jeszcze zaproszenie, najlepiej z jakiegoś zaprzyjaźnionego klubu. Przydała się dobra współpraca ze wspinaczami z klubu „Wiertikał” z Nowosybirsk.

Prócz Wandy i Zawady do Taszkientu lecą między innymi „ojciec chrzestny” Wandzinego wspinania Bogdan Jankowski, Wojciech Jedliński, Jan Kiełkowski, Tadeusz Łaukajtys, zaprzyjaźniony z Wandą Jaś Franczuk i jej partnerka z Alp i Norwegii Halina Krüger-Syrokomska. Celem wyprawy są, na początek, dwa wysokie dziewicze pięciotysięczniki: Pik Fedczenki i Pik Szczurowskiego. Potem wyprawa ma się przenieść w rejon zaałajski i wejść na Pik Lenina. To dawało Halinie i Wandzie szansę na pobicie kobiecego rekordu wysokości. Jakież będzie ich rozczarowanie, gdy już na miejscu okaże się, że niemal dwa tygodnie wcześniej na Piku Lenina stanęła Zofia Szajuk, działająca w ramach drugiej polskiej wyprawy, pod kierunkiem Piotra Młoteckiego.

Wyprawa jest międzynarodowa. Polacy, Rosjanie z „Wiertikała” i dwaj Bułgarzy. W sumie dwudziestu czterech alpinistów.

Taszkient to dla nich dopiero początek drogi. Dojazd do miejscowości Kan w dolinie rzeki Soch i przemarsz karawany objuczonych osiołków zwanych tutaj iszakami, kilka dni drogi po ścieżkach wykutych w głębokich, skalnych wąwozach, widok kłębiącej się w dole rzeki – niewątpliwie emocji nie brakuje. A Letowka Matcza, do której docierają, to letnie obozowisko kirgiskich pasterzy. Tu stanie baza, a już 12 lipca, za przełęczą Matcza, na Lodowcu Zerawszańskim – baza wysunięta. Wspinacze dzielą się na trzy zespoły, Rutkiewicz jest w grupie z Andrzejem Zawadą, Haliną Krüger-Syrokomską i Wojciechem Jedlińskim.

Wyruszają z lodowca Mir-Amin. Mają podobne plany jak zespół Jan-kowskiego i Franczuka, ci jednak na Pik Szczurowskiego chcą się wspinać inną drogą, od strony południowo-wschodniej.

I jedni, i drudzy niewiele zdziałają. Wprawdzie docierają do wysokości prawie 5300 metrów, ale zatrzymuje ich gwałtowne załamanie pogody. Zabrakło szczęścia, więc Jedliński, który idzie pierwszy, uznaje, że to zbyt niebezpieczne, i zarządza odwrót. Ale Wanda jak to Wanda. Zbliżająca się nawałnica i wyładowania elektryczne jej nie odstraszą, chce iść dalej. Nie może? Jak to? Jest wściekła i bezsilna. Uderza w płacz, co Jedlińskiego mocno zaskakuje. O co jej chodzi? Wejdą na szczyt, to wejdą, a jeśli nie, to przecież i tak jest fajnie: przygoda, nieznanne wysokie góry, zgrana ekipa. Po co ten płacz?

Pogoda się nie poprawia i wejście na szczyt uda się jedynie Kiełkowskiemu i Łaukajtysowi. Za mało czasu i zabrakło szczęścia do pogody, ale cała wyprawa jest świetną lekcją na przyszłość w nie do końca poznanych górach Azji. Polacy przeżyli sporo ciężkich chwil. Wraz z wysokością rosły trudności techniczne. Wspinaczkę utrudniały silny wiatr i coraz gorsza widoczność. Niczego dobrego nie wróżyły niewielkie początkowo pyłowe lawinki. Zespół pokonywał kolejne, niełatwe uskoki grani, a dzielące je śnieżne pola były porysowane śladami lawin. Wreszcie Zawada powiedział „stop”. Ale powrót do miejsca ostatniego biwaku też nie jest radosny. Szczytu szkoda, pewnie, ale gorzej, że cały biwak zawałiło mokrym, ciężkim śniegiem, wszystko nasiąkło wodą. Są zmęczeni, głodni, rozczarowani. Wanda patrzy na Rosjan z „Wiertkała”. Ci nie zastanawiają się nad ryzykiem. Idą na szczyt i już. W ich działaniu Polka dostrzega siłę determinacji i głębokie przekonanie, że im się uda. To cechy, które jej się podobają i które niewątpliwie drzemią także w niej. Ma pretensje, żal – i do siebie, i do innych. „Czy musiało tak się zakończyć? Może tam, pod

szczytem należało zaryzykować? [...] Żadne z nas nie umiało powiedzieć: idziemy! Ja prowadzę!”¹¹.

Niepowodzenie na dziewiczym Piku Szczurowskiego Wanda powetuje sobie na Piku Lenina, jej pierwszym siedmiotysięczniku (7134 metry). Nie będzie go dobrze wspominać. Na sto metrów przed szczytem dopada ją tlenowy głód. Zwyczajnie ją „zatyka”. Często się zatrzymuje, a i tak ostatni odcinek pokonuje resztkami sił. Dociera do szczytu i zaczyna wymiotować.

Na szczycie jest dużo ludzi. Za dużo, by móc rzeczywiście przeżyć ten ważny moment. Trzeba tylko jeszcze zabrać stamtąd informację od poprzedników i zostawić swoją – wysokogórski *savoir-vivre*: kartka z nazwiskami i datą. I w dół!

Z tego pierwszego wyjazdu w Pamir Wanda wyniesie sporo spostrzeżeń. Nie jest do końca zadowolona z organizacji. Narzucony przez Rosjan schemat działania wyprawy, zwłaszcza w jej drugiej części, do złudzenia przypominał pionierski obóz, co Polakom, a zwłaszcza Wandzie, nie mogło się podobać. „Była to współpraca wymuszona: pojawiały się problemy, których zazwyczaj nie ma podczas wspinaczek w Tatrach czy w Alpach, na które idzie się albo z tymi, których się zna, albo z tymi, z którymi się dobrze rozumie. [...] Po tym doświadczeniu w Pamirze przysięgłam sobie nigdy więcej nie brać udziału w takich wyprawach”¹². Jest to jednak znakomity wstęp do gór jeszcze wyższych i do jeszcze większych wyzwań. W Pamirze zarysowuje się też wyraźnie rozdzwięk między dwiema jedynymi kobietami na wyprawie. Znają się dobrze i powinny trzymać się razem. A może znają się już zbyt dobrze i w tym cały problem? Halina Krüger ma silną osobowość, za silną dla Wandy, i odwrotnie; i o ile w Pamirze w ich relacjach dominuje jeszcze tylko niechęć, jest oczywiste, że wcześniej czy później dojdzie do konfrontacji.

Po zdobyciu siedmiotysięcznika Wandzie wydaje się, że naturalną kolejną rzeczą będzie wyjazd w góry jeszcze wyższe, o ile w klubie nadarzy się podobna okazja. Nadarza się. W afgański Hindukusz wrocławianie chcieliby wyruszyć za rok, czyli w 1971, zatem najwyższy czas rozpocząć organizacyjny kołowrót. Skład? No tak, stwierdzili, Wanda jest dobra, ale to kobita. Wiadomo to, jak ją w kraju muzułmańskim przyjmą? Może być z tym więcej problemów niż pożytku. Nie ma co, Błaszkiwicz zostaje.

Wanda oczywiście jest rozzarowana, ale to daje jej impuls do działania. Jak zawsze. Działanie to antidotum na problem czy porażkę. Bo decyzję klubu ewidentnie uznaje za swoją porażkę. Mijają dwa lata. W 1972 roku warszawskie środowisko alpinistyczne otrzymuje wyraźny sygnał: we Wrocławiu traktują mnie, no, tak średnio. A interesuje mnie wyprawa w góry wyższe. Sygnał nie jest przypadkowy. Warszawa planuje wyprawę w Hindukusz. Cel – Noszak!

Niebo jest wysokie, czyste, gwiazdziste. Messner słucha Wandy. Ona nigdy więcej już się tak nie otworzy. Przechodzi mu przez myśl to, co później napisze w swej książce, że zdecydowanie wolałby iść w góry, na szczyt, z Wandą niż ze swoimi klientami.

Noszak. Wysokość 7492 metry. Drugi co do wysokości szczyt Hindukuszu, zdobyty po raz pierwszy przez Japończyków Toshiakiego Sakai i Goro Iwatsubo w 1960 roku. W dziesięć dni później, 27 sierpnia, na wierzchołku meldują się pierwsi Polacy, w tym Krzysztof Berbeka, a jeszcze później, w 1973 roku, Andrzej Zawada i Tadeusz Piotrowski dokonają pierwszego zimowego wejścia; będą pierwszymi ludźmi na Ziemi, którzy w zimie znaleźli się powyżej wysokości 7000 metrów. Zapoczątkują okres wielkich dokonań Polaków w górach wysokich.

Warszawiacy problemu z zakwalifikowaniem Błaszkiwicz do składu nie mają, a do wrocławskiego Instytutu Automatyki Systemów Energetycznych trafia pismo, pisarsko-urzędniczy majstersztyk Hanny Wiktorowskiej, z informacją, że obywatelka mgr inż. Wanda Błaszkiwicz nie tylko została wytypowana do udziału w I Warszawskiej Wyprawie w Hindukusz 1972, ale jej udział, jako tak wykwalifikowanego członka kadry, jest szalenie ważny dla powodzenia tejże. Kto by się nie zgodził? Instytut przyklepuje. Takich pism, kreślonych ręką Wiktorowskiej czy samej Wandy, będzie więcej. Coraz więcej.

Wanda odwdzięcza się, jak może. Załatwia puch (ulubiony element przygotowań polskich wypraw), zdobywa materiały nadające się na plecaki, odzież czy śpiwory, a potem po całej Polsce szuka spółdzielni, które będą potrafiły to wszystko uszyć. Z Kalisza targa swoim samochodem wykombinowane gdzieś liofilizaty.

Lipiec 1972 roku. Ta pierwsza warszawska ekspedycja w wysokie góry to pomysł Janusza Kurczaba. Oficjalna nazwa: VII Polska Wyprawa

w Hindukusz 1972. Początkowo jej cel jest inny, choć również bardzo ambitny: najwyższy szczyt Hindukuszu, Tiricz Mir (7706 metrów). Ale tu wkracza polityka. Plany niweczy wojna indyjsko-pakistańska: władze Pakistanu odmawiają wydania pozwolenia. Mimo to szansa na sportowy sukces, a zwłaszcza na kobiecy polski rekord wysokości, jest wciąż realna: Noszak, niższy od Tiricz Mira ledwie o 215 metrów, jest dostępny od strony radzieckiej.

Wyprawa szykowana jest z dużą pompą: na czele Komitetu Honorowego staje doktor Halina Skibniewska, ówczesna wicemarszałkini Sejmu PRL, a wsparcia udzielają, jak to w PRL, ze zrozumieniem i społecznym entuzjazmem, zakłady pracy i instytucje z całej Polski. Najważniejszy jest jednak wymierny wkład Fabryki Samochodów Ciężarowych im. Dzierżyńskiego w Starachowicach, w postaci stara A-29. Pojazd ów, wielka niewiadoma wyprawy, przez całą drogę z Polski do Afganistanu, czyli na trasie Warszawa–Kazi Deh, od ówczesnej Czechosłowacji i innych tak zwanych demoludów, przez Turcję i Iran, zrobi ponad szesnaście tysięcy kilometrów, będzie domem dla uczestników, w większości członków warszawskiego klubu, i osiołkiem dla całkiem sporego bagażu.

Do stara w pewien letni dzień wsiądą zatem Janusz Kurczab – kierownik wyprawy – jego zastępca Onyszek, czyli Janusz Onyszkiewicz, żona Onyszka Alison Chadwick-Onyszkiewicz z Kornwalii, Ewa Czarniecka-Marczak z mężem Andrzejem, Wanda Rutkiewicz, która po przeniesieniu się z Wrocławia do Warszawy należy już do Koła Warszawskiego Klubu Wysokogórskiego, Jan Holnicki-Szulc, Andrzej Marczak, lekarz Jan Lewicki, Andrzej Sikorski i Krzysztof Zdzitowiecki. Za kierownicą siada krakowianin „Łapa” – Andrzej Łapiński, kierowca i mechanik samochodowy. W składzie brakuje Haliny Krüger-Syrokomskiej. Znana z bezkompromisowości i ciętego języka Halina nie dostaje paszportu: bo kto to słyszał w tamtych czasach zamieszczać na ostatniej stronie szacownego socjalistycznego magazynu „Fotografia” zdjęcia Piłsudskiego na Litwie czy w Kijowie? Halina wylatuje za to z hukiem z redakcji, której szefowała.

Cała wyprawa jest trochę jak odkrywanie ziemi nieznannej. Poza Wandą nikt z uczestników nie wspinał się w górach wyższych niż Alpy, a pod nieobecność Haliny nikt też nie wspinał się z Wandą.

Ruszają z Warszawy 3 lipca, z ledwie trzydniowym opóźnieniem. Przez dziewiętnaście dni jazdy do Kabulu rytm dni wyznaczają incyden-

ty „mechaniczno-formalne” stara: dwa i pół dnia postoję w Meszhedzie z powodu trudności technicznych czy brak jednego dokumentu tranzytowego na granicy węgierskiej. Przezornie zabrane z Warszawy wszelakie części samochodowe skutecznie uzdatniają „osiołka” do dalszej podróży, bo mimo solidnych przygotowań co rusz odmawia posłuszeństwa. Na szczęście zdarzają się tylko dwie poważniejsze awarie, w Turcji i Iranie, ale od czego pomoc ambasady w Kabulu. W ogóle w takich sytuacjach interwencje ambasad polskich okazują się bezcenne, a wizyty w kolejnych gościnnych polskich placówkach dyplomatycznych i handlowych – nader sympatyczne.

Mimo rozmaitych przeciwności „osiołek” dzielnie pokonuje te kilka tysięcy kilometrów, przewożąc bez szwanku skrzętnie pozyskiwany przez każdego sprzęt, namioty i wyżywienie, łącznie ze szwajcarskim serem wielkości samochodowego koła. Radzi sobie też z jazdą terenową, zresztą z zabójczą prędkością dziesięciu kilometrów na godzinę i spalając średnio sto litrów paliwa na sto kilometrów. A że parę razy trzeba przejść przez jakiś mostek pieszo czy przenieść bagaż na plecach? W porównaniu z celem to małe poświęcenie.

Wanda podróż znosi nie najlepiej: ciężko jeść w ciągłych oparach spalin, zwłaszcza między jednym rzyganiem a drugim. Zresztą jeść nie bardzo jest co, bo żywność, zaplombowana przez urzędników, jedzie w oddzielnej części stara.

27 lipca. Dzień po opuszczeniu Kabulu asfalt się kończy, a zaczyna się prawdziwa wyprawa, bo do przełomu rzeki Kokczy prowadzi trudna terenowa droga. 30 lipca czas na kolejne formalności na posterunku milicji. Z doliny Kokczy star toczy się dzielnie przełomem rzeki Wardudź. Na drodze pojawiają się wątpliwej trwałości mostki: dwa z nich „osiołek” przejeżdża z pełnym obciążeniem, ale przy trzecim ryzyko jest zbyt duże. Część ładunku trzeba przenieść na własnych plecach. Nie minie parę kilometrów, a stara trzeba będzie pchać: na drodze podjazd za podjazdem. O 14.30 ekipa dociera do Iszkaszimu, tu znowu formalności, wreszcie parę godzin później Łapa wyłącza silnik. Są w Kazi Deh.

Początek sierpnia. Bagaże na plecach czterdziestu siedmiu tragarzy, wspinaczy i na grzbietach prawdziwych osiołków wędrują przez głęboko wcięta, ciągnącą się kilometrami dolinę Kazi Deh aż na wysokość 4500 metrów. Są na miejscu. To baza pod Noszakim.

Kurczab planuje wejść na szczyt zachodnią ścianą. To zadanie dla niego – kierownika – Zdzitowieckiego i Jana Holnickiego. Wanda ma się wspinać grzędą. Jeśli się uda, po kilku biwakach spotkają się na śnieżnym tarasie przed granią szczytową. Jeśli się uda, bo chociaż kobiecy rekord wysokości jest jednym z głównych punktów programu wyprawy, w zespole szczytowym Kurczab raczej Wandy nie widzi: taka tam... Wanda. Oczywiście mówi to nie wprost i raczej pod jej nieobecność.

4 sierpnia rusza zespół I: Zdzitowiecki, Holnicki, Wanda i Kurczab. Chcą zrobić rekonesans pod południowo-zachodnią ścianą i sprawdzić, czy da się założyć tam obóz I i przejść przez zerwę lodowca pod ścianą. Da się. Wysokość około 5000 metrów. Łączność? Dwa radiotelefony – „Klimmek” i ECHO – zagadały, czyli jest.

Obóz II założono już na 6300.

Trwa wahadełko z zaopatrzeniem kolejnych obozów. Wanda, Zdzitowiecki, Sikorski i Łapiński targają ciężkie ładunki do obozu I. Nie obywa się bez kłopotów zdrowotnych: Kurczab ma ropne zapalenie palca u nogi, pozostała ósemka rusza więc bez niego, by wynieść zaopatrzenie do obozu II. Akcja górską rozwija się dobrze, ale na prawidłową aklimatyzację to nie wystarczy.

Ekipa dzieli się więc na dwa zespoły, które obierają za cel dwa szesćtysięczniki w pobliżu Noszaka, w tym dziewiczy Aspe Safed. Biwak na wierzchołku sprzyja aklimatyzacji, więc dzień później główną granią docierają do drugiego szczytu. Południowo-wschodnią granią schodzą na skalno-lodowy stok, a stamtąd na stronę lodowca Kazi Deh. Teraz przed nimi już tylko Noszak!

Wojtek, mąż Wandy, chyba tej presji nie wytrzyma. Tego, że wszystko kręci się wokół gór. Dla niego nie, wręcz przeciwnie. Przechodzi kryzys. Ktoregoś razu pojechał w Skałki, po czym wrócił do Warszawy i oznajmił Wandzie, że nic już we wspinaniu nie może znaleźć. A ona tylko góry i góry. Nie rozumieją się. On nie tak wyobrażał sobie małżeństwo. Ona też. No i jest od niego lepsza w górach. Chyba szykuje się rozwód.

Patrzą z Messnerem na Noszak, na światło w obozie I. Wanda milknie. Tylko w ten wieczór mówi tak wiele.

Rankiem z ósemki, która wyruszyła w stronę grani, wykrusza się połowa. 20 sierpnia Wanda wychodzi z bazy z Sikorskim. Docierają na wy-

sokość 6900 metrów, aż do zachodniego tarasu, gdzie zakładają obóz III. Schodzą do obozu II, by następnego dnia ruszyć do ataku szczytowego.

Wanda jest niespokojna. W Alpach też była paskudna pogoda, załamania i parszywe, przenikające do szpiku kości zimno; wszystko prócz takiej wysokości. Nie było tlenowej zadyszki, czy raczej tlenowego głodu. To przecież już 7000 metrów. Na próżno wieczorem przed atakiem Wanda powtarza sobie, że będzie tylko podchodzić do góry, że przed nią były tu setki innych. Adrenalina? Strach?

Ranek. Z atakującej siódemki ciągle ktoś się wykrusza. Ostatecznie zostaje czwórka. Do szczytu jeszcze 1500 metrów. Zimno. Przeszywające zimno. Z takim wiatrem nie ma żartów. Niewiele brakuje, a wyrwałby jej z rąk puchową kurtkę, którą ona usiłuje założyć. Nie czuje nóg. Musi zdjąć raki i buty, żeby przywrócić czucie w stopach. Łatwe to nie jest, ale walenie w nie zamarznątą na kość rękawicą daje efekt. Boli? To dobrze, to znaczy, że wraca krążenie. Panowie jeszcze za wysoko nie odeszli. Torowanie drogi w głębokim śniegu nie sprzyja szybkiemu posuwaniu się. Wiatr podrywa do chocholego tańca tumany śniegu, widoczność spada do zera. Nie można dostrzec jakichkolwiek punktów orientacyjnych. Tylko chwilami wiatr odsłania skalną barierę grani. Czy ta grań wreszcie się skończy? A skąd! Ile jeszcze? Wiatr wywiewa z grani śnieg, wypcha mroźny oddech z powrotem do gardła. Ale to nic. Wanda się cieszy! Czuje się dobrze, swobodnie oddycha, a to już przecież prawie 7500 metrów!

I nagle grań się kładzie. Kamienny kopiec i... to już? Jest 17.30. Co teraz? Trzeba coś zostawić. Zdjęcia nie będzie, bo musiałyby zdjąć rękawice... brrr... Zostawia klubowy proporczyk, okłada go kamieniami, żeby nie pofrunął. Wiatr nie ustaje. W dół! Jak najszybciej. Jakąś inną drogą, byle nie wiało prosto w twarz! Strasznie wielkie te pola śnieżne, a tu już prawie ciemno. I jakoś posępnie się zrobiło. Tyle że trochę mniej wieje, mgła została wyżej. I najważniejsze: nie ma powtórki z Piku Lenina, Wanda nie wymiotuje.

Trzy godziny później jest już w obozie.

Baza. Jak dobrze korzystać z uroków słońca z błogim przeświadczeniem, że osiągnęło się cel. Trzeba tylko pilnować łączności radiotelefonicznej, bo jeszcze atakuje kolejna czwórka: Alison, Onyszek i Marczakowie. Alison Chadwick-Onyszkiewicz to druga żona Janusza. Poznali się w Polsce, podczas studiów Alison, a w 1971 roku osiedlili tutaj na stałe. Rutkiewicz

bardzo sobie ceni tę nową znajomość: Alison wnosi w wyprawową rzeczywistość zupełnie inne, świeże spojrzenie, innego ducha. Jej angielskie podejście do wielu spraw Wandzie bardzo odpowiada. Dlatego tak dobrze będzie się jej układać współpraca z Angielkami na Gaszerbrumach.

Onyszek z Alison i Marczakowie wracają. Weszli! Plan zrealizowany! Teraz już tylko sesja fotograficzna w wykonaniu Zdzitowieckiego, likwidacja obozów i powrót do bazy w świetle księżyca. A, jeszcze honorowy wystrzał z podejrzanej pukawki kupionej przez doktora na bazarze – na wiwat! Mimo szczytnych intencji i szczytnej roli doktor na wszelki wypadek dostaje tymczasowy nakaz eksmisji z namiotu. Chwila napięcia i... przeraźliwy huk! Rzut oka z namiotu. Żyje? Żyje!

Likwidacją obozów wszyscy zgodnie się podzielili. Wahadło zadziałało bez najmniejszych zakłóceń. Dla Wandy będzie to jedna z najbardziej udanych wypraw. Kobiety nie grały na niej roli ozdobnika w górskich buciorach. Tym razem było ich trzy, i Rutkiewicz z satysfakcją odnotowuje brak różnic w odporności na wysokość między kobietami a ich kolegami. Ponadto na Noszaku dokonuje się coś ważnego: wysokie góry, ciągnące się bez końca karawany, długie podejścia w śniegu, wysokość, oczekiwanie na pogodę, życie bazowe – choć nie tak luksusowe, jakim żyją klienci Messnera, wspomagani przez specjalnie wynajętych Szerpów i wzywani na obiad gongiem – to wszystko zaczyna się Wandzie podobać.

W obozie II, na kamieniach, w całkowitych ciemnościach, siedzą Wanda i Jasiak Holnicki-Szulc. Patrzą na jaśniejące w mroku punkciki bazowych namiotów na morenie lodowca. Dokąd wędrują myśli Wandy? „Každy z nas zaspokoił co najmniej jednym sukcesem własne pragnienia – napisze później w relacji dla «Taternika» – i prawie każdy z nas przez co najmniej jedno niespełnienie odczuwał niedosyt – ale przecież powodzenie wyprawy jest kombinacją sukcesów i niepowodzeń uczestników. [...] ważny jest ogólny sukces ekspedycji. A może jeszcze ważniejsze jest to, że za kilka godzin będziemy wszyscy razem w bazie?”¹³. Jeden sukces? Chyba nie jeden: Wanda jest zakochana.

28 sierpnia wszyscy są już z powrotem w bazie, a trzy dni później w Kazi Deh Andrzej Łapiński znowu przekręca klucz w stacyjce stara. „Osiołek” cierpliwie czekał na zdobywców pod czujnym okiem miejscowego posterunku wojskowego. Dowódca w bazie wojskowej cierpliwie czekał

na zasłużony bakszysz. Na Wandę, niecierpliwie, czekały już inne góry. Miesiąc później star dotarł do Warszawy.

Reinhold Messner był chyba jedynym, który w młodej Polce dostrzegął osobę z zadatkami na sukcesy w górach wysokich. Janusz Kurczab raczej nie. „Nie do końca można było określić, jakim wspinaczem Wanda mogła być w przyszłości” – mówi Janusz Onyszkiewicz. Początkowo „na tej wyprawie [...] była traktowana jak ładna, sympatyczna, choć trochę nie do końca pozbierana dziewczyna – którą traktowano z życzliwością, ale nie do końca poważnie. [...] Taka tam... Wanda”. Jest i tyle. Było w tym trochę protekcyjności. „Po tej wspinaczce jednak «urośla» i w Pamirze traktowaliśmy ją zupełnie inaczej”¹⁴.

W Pamirze. Wanda wraca tam dwa lata później, w 1974 roku. Jest już rok po rozwodzie.

Ale tym razem na wyprawie będzie zastępcą kierownika wyprawy, Janusza Onyszkiewicza. Ma pokierować żeńską częścią ekipy, a zwłaszcza, co bardzo podkreśla, w miarę możliwości jej działaniem, odrębnym od męskiej grupy. Jest ich trzy: ona, Ewa Czarniecka-Marczak i Danuta Wach.

Wyprawa chce zaatakować Pik Kommunizma i Pik Korzeniewskiej. Niestety, Pamir znowu daje Wandzie prztyczka w nos. Wprawdzie dotarła ze swymi partnerkami do wysokości 7000 metrów, ale na tym koniec. Dostaje obrzęku płuc i musi się wycofać. Polska grupa znajduje się pod opieką Uzbeckiej Federacji Wysokogórskiej, dysponującej na szczęście śmigłowcem Mi-15, więc pomoc przychodzi szybko, ale nie obędzie się bez nerwów. Przed wzniesieniem się ponad dopuszczalną dla niego wysokość maszyna zrzuca nad rzeką nieco paliwa.

Ze szpitala w Dżirgitalu Wanda wraca po tygodniu, ale obrzęk płuc nadal się utrzymuje, więc nawet nie próbuje wspinać się z kolegami na Pik Kommunizma. W ten sposób traci nie tylko szansę wejścia na szczyt, ale również okazję do przeczytania odezwy Komsomołu do przyszłych pokoleń, leżącej na wierzchołku pośród wielu innych pamiątek i rupiec. Schowana w trzydziestocentymetrowej kapsule w kształcie rakiety, dziwnym trafem znajdzie się później na półce jednego ze zdobywców szczytu, Janusza Mączki.

Aklimatyzacja. W wysokich górach słowo klucz, bez którego żadna wyprawa nie zacznie właściwej akcji górskiej. Brak aklimatyzacji to ryzyko nie tylko dla celu, ale przede wszystkim dla człowieka. Niedostatki

istoty ludzkiej, która pokusi się o wejście na taką wysokość, obnażono już w starożytności. Ból głowy, zmęczenie, brak apetytu – to dopiero początek kłopotów. Najlepszym rozwiązaniem jest zejście niżej, ewentualnie podanie tlenu. Zlekceważenie tych objawów to pogorszenie stanu. Wymioty, zawroty głowy, obrzęk twarzy, rąk i nóg. Potem zaczyna być naprawdę źle. Kaszel, uczucie bulgotania w płucach, zaburzenia widzenia, utrata świadomości. Teraz już niewiele można zrobić. Dochodzi do obrzęku płuc lub mózgu. Zostaje tylko śmierć.

Wanda musiała się wycofać, czego przecież nie znosi, na sto metrów przed wierzchołkiem. Kiedy jej koleżanki wchodzą na szczyt, w tym samym czasie na Piku Lenina rozgrywa się dramat, który przekreśli rozwój wspinaczki kobiecej w ówczesnym ZSRR. Na szczycie ginie, a raczej powoli zamarza ośmioosobowy zespół radzieckich alpinistek, ze znaną Wandzie, znakomitą Elwirą Szatajewą.

Śmierć uderza jednak także znacznie bliżej. Podczas zejścia ze szczytu, w dość łatwym terenie, potyka się i spada kilkaset metrów Ewa Czarniecka-Marczak. Z bazy Wanda widzi przez lornetkę niewielką kolorową plamkę, która nagle nieruchomieje na stromym zboczu. Ewa zostanie na zawsze w lodowej szczelinie.

„Żeby iść pod górkę, trzeba znaleźć się na dole” – napisze Rutkiewicz w swej książce *Na jednej linii*. „Po latach oceniam ten rok jako okres przygotowawczy do wielu następnych lat – twórczych, niekiedy szczęśliwych”¹⁵. Niekiedy?

Finał wyjazdu w Pamir jest więc nieoczekiwanie negatywny, tak w górach, jak i w Polsce. Nad głową Rutkiewicz zbierają się czarne chmury. Wraz z rozwodem zaczynają się kłopoty mieszkaniowe, ale z tym należało się liczyć. Lecz bezsensownej, tragicznej śmierci ojca Wanda przewidzieć nie mogła. Krew na ścianach piwnicy, rozprawa sądowa, nic niemówiące twarze morderców. Identyfikacja ciała w domu w Łańcutcie, rola oskarżyciela posiłkowego, godziny przesłuchań i wstrząsających zeznań. Czy to wtedy nabawiła się lęku przed pustymi, ciemnymi pomieszczeniami?

Pamir, Hindukusz, znowu Pamir. Pięć tysięcy metrów, sześć, siedem i pół. Kobięcy zespół na wyprawie. Rutkiewicz znowu wybiega myślami naprzód.

W 1972 roku prócz klientów Messnera i Norwegów do bazy pod Nozakiem dociera też wyprawa amerykańska. W jej składzie jest ciemno-

włosa, sympatyczna Arlene Blum, z którą Polki szybko znajdują wspólny język. Wszystkie są entuzjastkami samodzielnego alpinizmu kobiecego.

Na wysokości 7200 metrów „z otaczającej [...] mgły nagle wyłoniła się postać alpinistki” – napisze wiele lat później Arlene Blum. „Była to Rutkiewicz wracająca z wierzchołka: powitała mnie ciepło i powiedziała: weszliśmy na 7500 metrów. Teraz musimy wspiąć się na 8000 metrów – my, kobiety”¹⁶.

Po Noszaku nastąpi wymiana korespondencji. Arlene myśli poważnie o Annapurnie: pierwsza wyprawa kobieca w międzynarodowym składzie na pierwszym ośmiotysięczniku zdobytym przez człowieka. Plany bardzo ambitne, ale pryskają jak bańka mydlana: władze Nepalu nie udzielają paniom zezwolenia.

Arlene nie odpuści. Kilka lat później, w 1978 roku, zasłynie jako kierowniczką pierwszej w historii himalaizmu kobiecej wyprawy na piekielnie niebezpieczną Annapurnę. Wyprawa ta, zakończona sukcesem, lecz okupionym śmiercią dwóch uczestniczek, stanie się kamieniem milowym w historii zdobywania najwyższych szczytów, a książka Blum, znakomita relacja ze zmagania Amerykanek, będzie niezmiennie plasować się w czołówce światowej literatury górskiej i podróżniczej. Pomysł zorganizowania żeńskiej wyprawy na Matkę Żywicielkę Arlene przypisuje właśnie Wandzie.



Wanda Rutkiewicz w Tatrach w 1973 roku przed chatą Téryego, Dolina Pięciu Stawów Spiskich. W środku Stefania Egierszdorff.



W Pirenejach w 1969 roku.